NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor.
8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 13 maja 1905 r. Nr. 20.

Krwawy 1 maja w Tarnowie.

(Do artykułu na str. 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku!

Krwawy 1 maja w Tarnowie.

(Do illustracyi tytułowej).

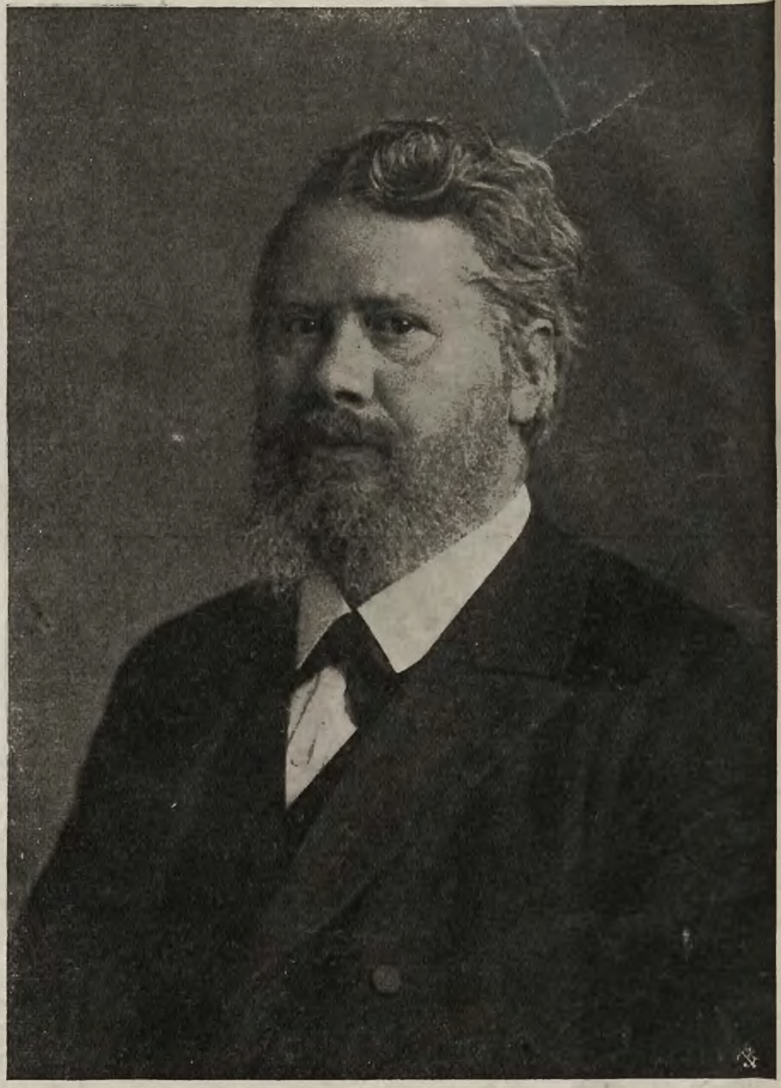
Robotnicze święto majowe w Tarnowie zapisało się tego roku na długo w pamięci uczestników. Przyszło bowiem, podczas demonstracyjnego pochodu robotników, do rozlewu krwi, spowodowanego wyłącznie prowokacyą ze strony policyi.

Przedpołudnie, a więc zgromadzenie ludowe i pochód przed lokal stowarzyszeń robotniczych, minęło spokojnie. Po południu odbyła się na „Słomiance“ zwykła zabawa ludowa. która trwała do wieczora. Około godz. wpół do ósmej ruszył znowu demonstracyjny pochód ku miastu, wśród rewolucyjnych pieśni i okrzyków. Przy wejściu do miasta przywódcy wezwali robotników, by udać się do stowarzyszenia w największym spokoju i milczeniu. Robotnicy usłuchali wezwania i pochód odbyłby się był zupełnie spokojnie, gdyby nie policya. W połowie ul. Krakowskiej bowiem zastąpili tłumom drogę policyanci i żandarmi i zaczęli brutalnie, za pomocą pięści i bagnetów rozpędzać tłum parotysięczny, ale spokojny. Oburzeniem zawrzeli robotnicy. Zakotłowało się, fala ludzi niepowstrzymanym impetem przerwała kordon policyi i popłynęła dalej, rozdzieliwszy się na grupy i grupki. Rozległ się śpiew „Czerwonego sztandaru“ i wśród pieśni szli robotnicy w górę. Wtedy stała się rzecz dziwna. Ze wszystkich bram i zaułków wypadły oddziały żandarmów i policyi i rozpoczęły się aresztowania demonstrantów. „Obrońcy porządku“ poczęli targać i bić robotników, którzy oburzeni tem do najwyższego stopnia, rzucili się na pomoc aresztowanym towarzyszom. Rozpoczęła się bójka z policyą i żandarmami, która przeniosła się wkrótce aż na ulicę Wałową. Tam policyanci dobyli szabel. Przyszło do starcia, polała się obficie krew po bruku. Pięciu policyantów odniosło ciężkie rany, kilkunastu lżejsze, ale i mnóstwo robotników zostało ciężko poranionych i pobitych. Tłum wtedy rozpierzchł się na wsze strony, a policyanci i żandarmi rozpoczęli uganianie za robotnikami, przyczem przychodziło do skandalicznych scen. Robotników szarpano i bito i to robotników, którzy najspokojniej powracali już do domów. Taka nagonka trwała dobre pół godziny, dopóki zapalczywa krew policyantów się nie uspokoiła, dopóki „obrońcy porządku“ nie nasycili się jękami rannych i bitych. Kilkunastu robotników uwięziono.

Na illustracyi naszej widzimy ohydną scenę bójki policyantów z bezbronnym tłumem. Spowodowana ona została jedynie przez policyantów, a wzburzyła i podnieciła do najwyższego stopnia umysły wszystkich robotników.

Dymisya ministra kolei Witteka.

Przed dwoma tygodniami pisaliśmy, że stanowisko dra Witteka jest tak silnie zachwianem, że nikt nie wątpi w rychłą jego dymisyę. Podawaliśmy wtedy powody, dla których ten minister musi upaść i opuścić krzesło ministeryalne. Dziś dymisya Witteka jest faktem dokonanym i powszechna radość zapanowała w sferach parlamentarnych i w sferach najbardziej interesowanych: kolejarzy. Albowiem z nazwiskiem Witteka połączoną jest taka suma krzywd i bezprawi, że nigdy jeszcze upadek ministra w Austryi nie wywołał takiej radości jak dziś, nigdy nie wywołał takiej ulgi, jak obecnie, z upadkiem ministra kolei. Minister ten, to uosobienie ministra, dla którego niczem nie była odpowiedzialność za swe czyny przed parlamentem, dla którego najwyższą powagą był § 14 i który lekceważył sobie wszystkie konstytucyjne przepisy. Był to minister, który potrafił przy pomocy § 14 załatać wszystkie niedomagania życia konstytucyjnego tak, że uważano go poprostu za ministra, zdolnego do popełnienia wszelkich czynów, niezgodnych z pojęciami ministra konstytucyjnego.



Dymisya ministra kolei Witteka: Nowomianowany minister kolei dr. Ludwik Vrba.

I kiedy obecnie upadł — wszystkie frakcye parlamentarne, wszystkie dzienniki przyjęły z radością jego dymisyę do wiadomości, gdyż uważały, że jest to ze strony rządu jawne zamanifestowanie, że nie pozwoli swym ministrom łamać praw, zagwarantowanych konstytucyą. Następcą ministra Witteka został zamianowanym szef sekcyi dr. Vrba. Jest on chwilowym następcą Witteka, gdyż w jesieni br. ma nastąpić rekonstrukcya gabinetu urzędniczego na gabinet wybrany z łona parlamentu. Ministerstwo sprawiedliwości, a obecnie także ministerstwo kolei, otrzymało tylko czasowych kierowników, którzy z rekonstrukcyą, mającą nastąpić w jesieni, ustąpią, a ich miejsca zajmą ministrowie, powołani na te stanowiska z łona parlamentu.

Dr. Vrba jest prawdziwym austryakiem i już dlatego ma wszelkie kwalifikacye na ministra. Jest on narodowości niemieckiej, chociaż urodził się w Wenecyi w r. 1844 i chociaż nazwisko ma czeskie. Od r. 1869 pracuje w kolejnictwie. Przez pewien czas pracował w ministerstwie handlu, później został przeniesionym do ministerstwa kolei, gdzie za zasługi i pracę doszedł do rangi szefa sekcyi. Od r. 1901 jest tajnym radcą, a z dniem 3 maja objął tekę kierownika ministerstwa kolei.

Podajemy w dzisiejszym numerze jego portret.

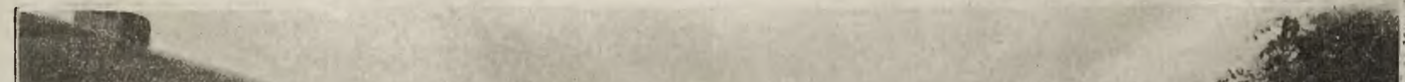
Obchód św. Stanisława w Krakowie.

Kraków — ta duchowa stolica Polski, ten Rzym polski, ma wszystkie cechy charakterystyczne, właściwe starym miastom. Mamy tu więc przepiękne obchody religijne, mamy tradycyjne obchody narodowe — miejsca pielgrzymek, słynące w wyobraźni ludu cudami. Pobożny lud krakowski przywiązany jest całem sercem do tradycyi. Tłumne pielgrzymki na Kalwaryę, na Emaus na półwsiu Zwierzynieckiem, na kopiec Krakusa w dzień Rękawki, dają chlubną miarę serdecznej naiwności, cechującej Krakowiaka. O uroczystości w dzień św. Stanisława, przypadającej 8 maja, chcemy z Czytelnikiem naszym pomówić,

Św. Stanisław był biskupem krakowskim. Typ ascety i bogobojnego kapłana — złem okiem patrzał na zbyt swobodne i hulaszcze życie króla swojego Bolesława II. Gdy napomnienia i przedstawienia, z ust jego pochodzące, nie odnosiły skutku — biskup Stanisław miał na tyle odwagi, że rzucił z ambony ekskomunikę na monarchę.

Zatwardziały w swych grzechach i namiętnościach Bolesław — zamiast ukorzyć się przed sprawiedliwym Bożym sługą — zaprzysiągł mu krwawą zemstę. Planu swego dokonał na Skałce. Gdy biskup odprawiał Mszę św. przed ołtarzem — wpadł Bolesław do kościoła, ludziom swoim kazał wywlec kapłana na podwórze i w oczach przerażonych tłumów rozsiekał pałaszem Stanisława. Jak podanie mówi, palec świętego wpadł do sadzawki, której woda ma od tego czasu — według wiary ludowej — moc uzdrawiającą.

Do tej to sadzawki, do tego kościółka — pielgrzymują pobożni Krakowianie w dzień Patrona. Wesoło tu i ludno. Porozstawiane wzdłuż drogi



Fot. amatorska p. Rzący.

Obchód św. Stanisława w Krakowie: Tłumy pobożnych około sadzawki św. Stanisława, znajdującej się przy kościele na Skałce. W głębi widać Wawel.

kramy nęcą oko tanim towarem. Są tu pierniki wycinane w kształcie serca, są różańce z ciasta i drobne zabawki i cacka gliniane. Wesoły naród krakowski lubi i umie się bawić. Odpust jest dla niego jednem z tych świąt, gdzie humor i fantazya mają swobodne ujście. Grają katarynki, wódka i piwo „odchodzi“, karuzele się kręcą. Rozśpiewany, rozbawiony ludek chętnie daje folgę wrodzonej swej żywości.

Pobożne pielgrzymki do kościoła na Skałce, do miejsca zgonu krakowskiego biskupa, dzisiaj patrona i orędownika wielkiego księstwa krakowskiego, weszły w zwyczaj nie tylko u ludu krakowskiego. W całej Polsce, gdzie tylko jeszcze rozbrzmiewa mowa polska, gdzie w duszach płonie jeszcze znicz narodowego uczucia i świadomości narodowej, Skałka, ten skrawek ziemi nad Wisłą, opromieniona jest aureolą świętości i legendami. I niema może innego miejsca, wyjąwszy Częstochowę i kilka innych, któreby sercu Polaka były tak drogie, tak święte i tak ściśle związane z najdroższemi dla Polaka pamiątkami, z dziejami Polski. To też w dzień świętego Stanisława przybywają do Krakowa ze wszystkich stron Polski tłumne pielgrzymki, aby w miejscu, gdzie święty męczennik padł pod ciosami rozpasanego namiętnością i niepohamowanego w gniewie, dumnego władyki polskiej ziemicy, w miejscu, które odrazu po spełnieniu zbrodni zasłynęło cudami, gdzie białe orły strzegły posiekanych w kawałki zwłok świątobliwego biskupa, nabrać sił i ducha, orzeźwić upadające serce i przed ołtarzem, na którym do dziś



Fot. amatorska p. Rzący.

Obchód św. Stanisława w Krakowie: Wejście do kościoła na Skałce oraz do „grobów zasłużonych“, oblężone przez tłumy pobożnych.

dnia widnieją jeszcze, ni ręką czasu, ni ręką ludzką niezmyte plamy krwi świętego, wznieść do królującego dziś w chwale niebieskiej świętego patrona Polski pokorne modły o moc i wytrwanie i zmartwychwstanie.

Na ścianie kościelnej, na lewo od wejścia, obok ołtarza, przy którym król Bolesław napadł na odprawiającego mszę biskupa, widnieją do dziś dnia ślady krwi. Nie dadzą się one zmyć. Jak wypryły z czaszki św. Stanisława, tak trwają na tej ścianie od 8 wieków, jak straszny wyrzut i klątwa, na narodzie polskim ciążąca. Plamy te to jakby krwawe przypomnienie, iżeśmy źli byli i nie umieli szanować tych, którzy dla nas byli jakby przez opatrzność zesłani w czasach niedoli. Zakryte dzisiaj szkłem, krwawą rdzą płoną na kamieniu jakby przypominając, żeśmy sobie sami winni upadek nasz, żeśmy nie byli bez zmazy. Ale też mówię, że przez męczeństwo idzie się do zmartwychwstania, do odrodzenia w chwale i nieśmiertelności. Te krwawe plamy wlewają w nas, uciskanych dzisiaj i coraz bardziej gnieciónych jarzmem niewoli, nadzieją, że męka nasza, że niewola nasza, to chrzest, otwierający drogę do zmartwychwstania. Ziemia polska broczy dziś krwią, przelewaną na ulicach Warszawy i innych miast zaboru rosyjskiego, cmentarze nasze kwitną dzisiaj purpurowymi kwiaty – wyrosłymi na grobach poległych w powstaniach, droga na Sybir i Sybir cały i dalekie obszary Sachalinu pełne są jęków i boleści tych, których rząd carski najsroższym poddał katuszom, których oderwał od ziemi rodzinnej, pognał w mroźną krainę Syberyi, przykuł do taczek w podziemnych kopalniach, za to, że nie chcieli nosić jarzma na karku, że zrzucali obrożę, a dumni byli, bo pod szubienicą plwali w twarz katom i mordercom ojczyzny. Ziemia nasza dyszy krwią, ale z tej krwi wyrosną kiedyś bohaterzy, ludzie olbrzymy, bo od kolebki żywieni jadem nienawiści i uczuciem wolności. Ta nienawiść i poczucie swej własnej godności daje moc i siłę piorunową; a nienawiść, potężniejsza jak miłość, każe wzgardzić życiem i walczyć i przez krew iść do zwycięstwa. I jako ciało św. Stanisława poszarpane na części, zrosło się w sposób cudowny, tak, mówią te plamy krwi na ścianie kościoła na Skałce, Ojczyzna nasza, rozdarta w kawały zrośnie się kiedyś i wstanie w chwale wielkiej, w aureoli męczeństwa i nieśmiertelności. Nic dziwnego, że tysiące wiernych z całej Polski, ze wszystkich zaborów zdążają na Skałkę. Tu Polak, choćby najbardziej nawet gnieciony niewolą, choćby nawet z wystygłem dla ojczyzny sercem, czuje, że jest Polakiem i że mu czem innem być nie wolno. Skałka — to dla nas wzgórze Nadziei i wzgórze wspomnień. Wspomnień wielkiej przeszłości i nadziei przyszłości.



Fot. amatorska p. Rzący.

Obchód św. Stanisława w Krakowie: Przed sadzawką św. Stanisława w poniedziałek rano.

Wystarczy na św. Stanisława przejść się ku Skałce, aby się przekonać, jak magnetycznie Skałka serca polskie przyciąga. Wystarczy spojrzeć w kościele na te tłumy, rozmodlone, klęczące jakby w ekstazie modlitwy, by zdać sobie sprawę z tego, czem Skałka jest dla Polaków. W półmroku kościelnym zdaje się unosić postać świętego męczennika-biskupa, w wieńcu nieśmiertelności na skroniach, z rękoma, wzniesionemi do błogosławieństwa.

A trzeba nam tego błogosławieństwa i trzeba nam takiego orędownika u Tronu Przedwiecznego. Trzeba nam zwłaszcza dzisiaj, w czasach bezmocy i bezwiary, w czasach, kiedy w narodzie naszym ścierają się najrozmaitsze, najsprzeczniejsze prądy, tamujące normalny rozwój narodu, normalne, ale stałe dążenie do odrodzenia. Bo my dziś jesteśmy słabi, a słabi własną niezgodą.

Obok kościoła znajduje się obramiona kamiennem obmurowaniem sadzawka, w pośrodku której wznosi się olbrzymia, w kamieniu ciosana statua św. Stanisława. Sadzawka ta w wierze ludu, nietylko krakowskiego, ale wogóle polskiego, słynie z cudownej mocy, jaką woda jej posiada.

Wedle wiary ludu woda ta służy do leczenia i nie było podobno wypadku, by wiara ta kiedykolwiek zachwianą została niespełnieniem. Naturalnie działa tu bardzo wyobraźnia ludu, która sadzawkę tą opromieniła blaskami poezyi i świętości. To też w święto św. Stanisława, sadzawka ta formalnie jest oblężona przez tłumy ludu, zwłaszcza włościan, którzy tam szukają ratunku. Więc widzisz tam kaleki i chore i z sił opadające; wszyscy z oczyma, wzniesionymi na posąg z czcią przybliżają się do świętej wody. Gdzie spojrzysz – tłumy i tłumy, że przecisnąć się trudno. Kraciaste chustki dziewcząt, czerwone bluzki krakowskich chłopaków, mieszają się z różnokolorowemi strojami mieszczan, tworząc jakby ogromnie barwną, ruchliwą, mieniącą się z każdą chwilą, olbrzymią mozajkę.

A nad tym tłumem dominują białe mury klasztoru. Gdy świat rozbawiony doczesnemi uciechami — pokorne mnichy modlą się za temi murami i proszą Boga o upamiętanie i nawrócenie grzeszników.

* * *

Podajemy w dzisiejszym numerze kilka fotografii, zdjętych w czasie odpustu na Skałce. Na pierwszej widzimy tłumy ludu przy sadzawce św. Stanisława i klasztor Paulinów. Po lewej widać jedną ścianę kościoła, po prawej rysują się na dalekiem tle kontury Wawelu, z występującą na pierwszy plan basztą senatorską. Na drugiej widzimy również sadzawkę, w rannej godzinie, jeszcze nie obleżoną przez pobożnych, którzy tu dopiero z procesyą z Wawelu przychodzą. Obok widzimy rycinę, przedstawiającą wejście do kościoła i do grobów zasłużonych mężów. Tam w krypcie podziemnej, niedawno świeżo odrestaurowanej, spoczywają popioły najzasłużeńszych mężów, Długosza, Kraszewskiego, Asnyka i innych. W dzień św. Stanisława i ta krypta pełna jest zwiedzających. Bo tam, patrząc na popioły tych, którzy jako kwiaty na polskiej glebie wysoko ponad współczesnych wykwitli, możemy czerpać otuchę, że jest w nas jeszcze krew i siła, że mimo wszelkie przeciwieństwa i przeciwności, jeszcze żyjemy i wydajemy z siebie takich, jak tam spoczywają, ludzi – olbrzymów ducha. Na czwartej rycinie widać kramy, znajdujące się przed kościołem.



Fot. amatorska p. Rzący.

Obchód św. Stanisława w Krakowie: Kramy pod murami Skałki w czas odpustu.

KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

32 (Ciąg dalszy).

— Lecz ty, ciociu. wytłómaczysz mi słowa Orskiego, powiesz, dlaczego nie mogę się ożenić z osobą, należącą do naszego świata, dlaczego pragniesz koniecznie połączyć mnie związkiem małżeńskim ze swoją wychowanicą... panną Zofią Żarską?

– Przedewszystkiem nie mówiłam ci. że się zowie Żarską! Dla wszystkich w moim domu, zatem i dla ciebie, jest ona panną Sieńską!

— Dajesz jej swoje nazwisko?

— Daję... i pragnę, by je w rzeczy samej zachowała. Życie szlachetnego i nieszczęśliwego dziewczęcia zamącone było okropnym dramatem, lecz mówić o nim nie chcę... a ty znać go nie powinieneś! Kto ci odkrył nazwisko rodzinne Zosi? Nie wiem... i nie pytam cię o to wcale, lecz twoja ciekawość sama przez się jest dla mnie dowodem, że zajmujesz się moją pupilką, racz mi zatem powiedzieć: w jakim celu?

— Ciocia przyznać musi, że w ciekawości mojej niema nic nienaturalnego.

Księżna wzruszyła ramionami.

— Przedewszystkiem zaznaczyć muszę, że nigdy na seryo i stanowczo nie proponowałam ci Zosi za żonę – odparła tonem niemal lodowatym. – Zosia jest doskonałą partyą, ubiegać się o nią będą ludzie zacni, posiadający świetne stanowiska!...

— Ba! lecz ów dramat tajemniczy wszystkich starających się od niej odstraszy!

— Milcz!... to już rzecz, która tylko do mnie należy...

— Ona i ja posiadamy w naszem życiu coś, co ukrywać należy. Ciocia zna jednę i drugą tajemnicę, lecz nie chcesz ze mną o nich mówić... Wolisz, by mnie obrażano publicznie, bo milczenie twoje pozbawia mię środków obrony. Jestem Wielogrodzkim, synem twego rodzonego brata, lecz jestem zarazem synem znienawidzonej przez ciebie dotychczas kobiety.. Musiałaś ją zawsze nienawidzieć!... Czy mi powiesz, czem matka moja zasłużyła na twoją nienawiść?

— Nędznica, uciekła, pozostawiając cię niemowlęciem w kolebce! W dwa lata po ożenieniu się z nią twego ojca, porzuciła was obu... dla kochanka!

— Och!

— A czy wiesz, co się wówczas stało z twym ojcem? Trzymając cię w objęciach, upokorzony, przejęty wstydem i zgryzotą, powrócił do Warszawy... i zapukał do drzwi mojego domu. Czy wiesz o tem?

— Ach! ciotko... ciotko! błagam cię...

— Chciałeś dowiedzieć się prawdy i zmusiłeś mnie do mówienia... więc mówię, chociaż Bóg świadkiem, że dalej ukrywać ją zamierzałam... Zresztą, dziś wolę, żebyś o wszystkiem się dowiedział, bo może cię to skłoni do wdzięczności dla księdza Jana, który poświęcił się dla ciebie, wychował i kształcił swoim kosztem.

— O! wiem, co oboje uczyniliście dla mnie — rzekł Jerzy smutnie. — Wiem, że wam wszystko zawdzięczam...

— My zaś, za całą naszą nagrodę, domagamy się tylko od ciebie, byś nas kochał zawsze... dowiedziesz zaś nam swej miłości pracując, stając się pożytecznym obywatelem kraju. Pamiętaj o starem, mądrem, francuskiem przysłowiu: „*noblesse oblige...*" Szlachectwo, a szczególnie historyczne nazwisko w Polsce, wkłada na tych, którzy je noszą, wielkie i ciężkie obowiązki...

Jerzy nie słuchał już księżnej. Usiadł na ławce, ukrył twarz w dłonie i myślał: czego więcej od niej się dowie? Ona zaś, bardzo blada, pochyliła się nad nim — i mówiła cichym, drżącym głosem:

— Powiedziałam ci przed chwilą, że po ucieczce Leonii, ojciec twój powrócił do Warszawy i schronił się wraz z tobą do mojego domu. Pomimo serdecznej życzliwości i opieki, jaką ksiądz i ja go otaczaliśmy, nie mogliśmy go rozchmurzyć. Przygnębiony, bezradny, zatapiał się nieustannie w ponurych myślach. Pewnego dnia wszedł do pokoju, który następnie zamieniłam na kaplicę. Było to w zimie. Wicher pędził po ulicach tumany śniegu. Stan pogody godził się z posępnym nastrojem mojej duszy, przewidującej nieszczęście. Nagle, wśród ciszy, zalegającej pałac, posłyszałam strzał. Przerażona, nie zdawałam sobie jednak sprawy, co to być może. Zdawało mi się, że coś gdzieś spadło, albo, że wiatr zerwał komin na dachu. Księdza Jana nie było w domu. Córeczka moja żyła wtedy jeszcze. Przybiegła do mnie i zanosząc się od płaczu, rzuciła się w moje objęcia. Ja ją zlekka odsunęłam i, tknięta okropnem przeczuciem, pobiegłam do pokoju, z którego doleciał mnie odgłos strzału... Straszny widok przedstawił się moim oczom! Ojciec twój z roztrzaskaną głową nurzał się w kałuży krwi... Pozbawił się życia, bo kochał jeszcze nędznicę, bo nie miał odwagi zdrady jej przeżyć... Ty, wówczas bardzo jeszcze maleńki, spałeś spokojnie w sąsiedniej komnacie...

— Czy matka moja żyje jeszcze? — zapytał Jerzy, podnosząc pochyloną głowę.

— Prawdopodobnie umarła.

— W takim razie jestem panem siebie i mojego życia! — rzekł, patrząc hardo w oczy ciotki. — Nikomu nie potrzebuję ulegać i nikogo słuchać..

— Tak, nikomu nie jesteś obowiązany zdawać sprawy ze swego postępowania, nawet nam — szepnęła księżna z goryczą, oburzona nieoczekiwaną butą młodzieńca, połączoną z niespodziewanym objawem cynicznej obojętności. — Swobodnym jesteś pod każdym względem. Nie krępuj się niczem... niewdzięczność twoja nas nie zdziwi... ani mnie, ani twego zacnego stryja!

To powiedziawszy, zmierzyła go dumnem spojrzeniem i odeszła.

On pozostał w kiosku. Starał sobie przypomnieć wszystko, co usłyszał. Potem zastanawiał się chłodno, co dalej czynić mu wypadnie. Położenie wydało mu się nie wesołem. Zosia otrzyma znacznie większą część majątku ciotki i stryja, to rzecz pewna. Własnym wpływem i własnymi środkami nie zdoła temu przeszkodzić, należy zatem poradzić się Bogajewskiego, który miewa zwykle doskonałe pomysły i nieraz mu już w trudnych sprawach dopomógł.

O parę wiorst za parkiem i lasem, w miasteczku Głuchowie, należącem niegdyś do dóbr Zahajeckich, otworzono przed kilku dniami pocztę. Jerzy wiedział o tem; nie namyślał się więc długo, udał się pieszo do znanej sobie mieściny i tam, w biurze pocztowem, napisał list następujący:

„Kochany Bogajesiu!

„Potrzebuję widzieć się z tobą w interesie, nie cierpiącym zwłoki. Zaraz, po otrzymaniu mego listu, przyjeżdżaj do Lublina, gdzie pojutrze czekać na ciebie będę na dworcu. Liczę na twoją życzliwość. Nie potrzebuję chyba dodawać, że zwrócę ci koszta podróży — a za fatygę suto wynagrodzę.

Szczerze ci oddany

Jerzy".

Bogajewski nie zawiódł położonej w nim ufności. W dwa dni potem powitał go hrabia Wielogrodzki na dworcu Kolei Nadwiślańskiej w Lublinie.

— Wyjazd mój z Warszawy wywołał maleńkie nieporozumienie małżeńskie między mną a Franciszką — mówił pasożyt, ściskając rękę Jerzego. — W domu nie było grosza... straszliwa bryndza!... Żona moja, bacząc na to, nie chciała zgodzić się, abym wyruszył w drogę, lecz wezwałeś mnie, hrabio, w imię życzliwości, więc z kilku gratami cenniejszymi posłałem babę do lombardu... no! i jak widzisz, cieszę się niewymownie, że mogę cię oglądać...

— Mój drogi, niemal zaraz po mojem przybyciu do Zahajec spostrzegłem, że obejść się bez ciebie nie mogę, że mi jesteś ciągle potrzebny — rzekł młody człowiek, opierając dłonie na ramieniu Bogajewskiego.

— Nie zawiedziesz się też na mnie, masz bowiem w mojej osobie prawdziwego przyjaciela. Czy hrabia otrzymał moje listy?

— Tak. Dziękuję ci za informacye w nich zawarte.

— Wychowanica księżnej jest niezawodnie córką mordercy hrabiego Jelskiego.

— Nie śmiałem jeszcze mówić o tem z ciotką, bo czekałem na odpowiedni moment do rozmowy, tymczasem moment taki jeszcze się nie zdarzył... i... o ile mi się zdaje... dość długo czekać na niego będę zmuszony...

— Nie szkodzi czasem poczekać.

— Czy uwierzysz, że księżna zaproponowała mi poprostu i bez ceremonij, żebym się z Zosią ożenił?...

— Pyszny interes! Dziewczyna śliczna... a i kabzę będzie miała nabitą!

— Pomimo to, odmówiłem.

— Nie miałeś racyi. Czy pamiętasz, hrabio, co ci doradzałem?

— Nie zapomniałem, lecz...

— Według mego zdania, byłoby najlepiej, gdybyś się z panną Zofią ożenił.

— Tej rady, mój Adolfie, nie traktowałem nigdy na seryo.

— To źle! Pieniądze mażą wszelką hańbę... a cóż u dyabła! Jesteś człowiekiem rozumnym i wykształconym, więc chyba wiesz, że zbrodnie rodziców nie mogą ciężarem swoim przygniatać ich dzieci...

— Pod tym względem w zupełności podzielam twoje zdanie – odparł Jerzy, któremu w tej chwili przesunął się przed oczami obraz niegodziwej matki, porzucającej dziecię swoje w kolebce, aby uciec z kochankiem.

— Lecz jedźmy, mój drogi, do miasta. Musisz przecie co zjeść, bo pewno jesteś głodny.

W godzinę potem siedzieli przy otwartem oknie w restauracyi Hotelu Angielskiego. Bogajewski. zmiótłszy z niezmierną szybkością podane mu śniadanie, pił teraz kawę z koniakiem. Wielogrodzki zaś szeptał mu do ucha:

— To, co ci teraz powiem, jest rzeczą bardzo ważną, słuchaj mnie zatem. Z własnych ust ciotki dowiedziałem się, że Zosia odziedziczyć ma znaczną część jej majątku. Gdy zwierzyła się przedemną z tego ohydnego zamiaru, krew w żyłach moich zawrzała; uczułem niepohamowaną chęć starą... kobietę... udusić! Lecz powoli... powoli... uspokoiłem się, bo przypuszczam, że skłamała, żeby mnie tylko przestraszyć i zmusić do posłuszeństwa... do uczynienia zadość jej życzeniu...

— Czy napisała testament?

— Prawdopodobnie tak.

— A gdzie go przechowuje?

— Złożony jest u rejenta Woźniaka.

— W Warszawie?

— Nie, tu... w Lublinie. Woźniak, to stary przyjaciel całej rodziny. Z księżną zna się od dziecka...

— Pewno człowiek surowych zasad i, jak to zwykle mówią, poważania godny. Nieprawdaż?

— Tak mi się zdaje.

— Podobnych ludzi najbardziej lękać się należy, zwłaszcza, gdy znaczną fortunę powierza się ich pieczy.

— O, co do Woźniaka nie ma żadnej obawy!...

— Czy bogaty?

— Bardzo zamożny.

— W takim razie zły interes... bo nie da się namówić do powierzenia nam testamentu, choćby tylko na godzinę.

— Można jednak jednego z jego dependentów przekupić. Ci panowie są zwykle źle wynagradzani, więc tęczowymi papierkami łatwo trafić do ich przekonania.

— I to rzecz niepewna, dependent bowiem bywa także niekiedy uczciwym człowiekiem. Trzebaby ich znać osobiście, zjeść z nimi beczkę soli, wypić pięciogarncowy gąsior węgierskiego wina...

W tej chwili przy rozwartem oknie, w którem siedzieli Jerzy i Bogajewski, zatrzymał się na ulicy jakiś niski staruszek, o twarzy silnie upstrzonej śladami ospy, blady, chuderlawy, ledwie trzymający się na nogach. W pierwszej chwili Bogajewski patrzył na niego obojętnie, ale przyjrzawszy mu się uważniej, zawołał głośno:

— Patrzcie, patrzcie! tatuś Korski tutaj. Skąd Pan Bóg prowadzi?

— Czemu się pan tak dziwi? – odparł zagadnięty, spoglądając na Adolfa. – A pan skąd się tu wziąłeś?

— Ja przyjechałem do mego przyjaciela, hrabiego Jerzego Wielogrodzkiego.

— Synowca księżnej Sieńskiej? – rzekł chudeusz, kłaniając się nisko.

— Bezwątpienia. Widzę, że tatuś zna arystokracyę lubelską.

— Wszyscy tu znają zacną matronę i jej brata, księdza Jana-Maryana... wszyscy ich kochają i poważają, nie wyłączając z powszechnej miłości i panny Zofii, która w naszej miejscowej gazetce nazywaną bywa: „najpiękniejszym kwiatem nie nadbystrzyckich..." Kwiatek ten zerwałby chętnie nie jeden z tutejszych młodych szlachciców, zwłaszcza, że nie rośnie na wilgotnej łące, lecz w złotej doniczce zahajeckiego, magnackiego dworu...

— Mylisz się pan — syknął Jerzy, rozłoszczony i blady, jak ściana – to jest biedna dziewczyna, bez grosza posagu... panna do towarzystwa, lektorka księżnej Sieńskiej...

— Ba, ba! ona biedna dziewczyna! ona lektorka! Cały Lublin i okolica wiedzą dobrze, że cho-

ciaż jest przybranem tylko, lecz zarazem i ukochanem dzieckiem wielkiej pani!

— Zdaje mi się, tatusiu, że nie koniecznie jest tak, jak twierdzisz — rzekł Bogajewski — lecz mniejsza o to. Wejdź-no tu do sali, wypijesz z nami kufelek piwa.

— Dziękuję... bardzo dziękuję. O dziesiątej muszę być w biurze, a to już wpół do dziesiątej! — powiedział, spoglądając na zegarek.

— W sam raz dość czasu na krótką pogawędkę. Tyle lat poczciwego tatusia nie widziałem... Chodź-że, chodź! nie marudź!

Staruszek, nie bez ceregieli, przyjął wreszcie zaproszenie i po chwili siedział już przy stole, przed pełną „bombką“ piwa, którą na dany znak przez Jerzego przyniósł jeden z kelnerów.

— Cóż tu, ojcze, porabiacie w Lublinie? — zapytał Bogajewski.

— To samo, co w Warszawie; to samo, co wszędzie. Od pięciu lat pracuję, jako pierwszy dependent u rejenta Woźniaka. Drapnąłem z „syreniego grodu“ — gdzie mnie tyle nieszczęść spotkało.

— Wiem, wiem... żona ci umarła, synek narobił niemało kłopotów! — i odwracając się do Jerzego, dodał: — Znam pana Korskiego od dawna, żyłem w przyjaźni z jego synem...

— Powiedz raczej, że hulaliście i trwoniliście pieniądze razem — powiedział dependent, wzruszając ramionami. — Pan gracko i szybko załatwiłeś się ze swoją ładną fortunką, a mój syn, straciwszy to, co mu babka zapisała i narobiwszy długów, które w części spłaciłem, a w części płacę dotąd, umknął za granicę. Tam jednak, jak mi donosi, opamiętał się, spoważniał, prowadzi się porządnie, a nawet pracuje... lecz pomimo to, bieda go gniecie. To też pragnę całą duszą, żeby powrócił do kraju, bo tęsknię za nim... lecz, niestety, na sprowadzenie marnotrawnego dziecka nie mam funduszu...

Powieki starca drgnęły kilkakrotnie nerwowym ruchem, a na rzęsach jego zawisły dwie łzy duże.

— Nic łatwiejszego, jak go sprowadzić — rzekł pasożyt, rzucając na Wielogrodzkiego znaczące spojrzenie — paręset rubli na to wystarczy...

— Panu się zdaje, że to rzecz łatwa — odparł Korski, ocierając ręką wilgotne oczy. — Z tego, co dawniej zaoszczędziłem, nie mam już ani grosza; z tego, co tu zarabiam, spłacam ratami kilka weksli syna; to zaś, co pozostaje, ledwie mi na życie wystarcza. Wiesz chyba, że towarzysz zabaw pańskich, wyruszając w świat szeroki, winien był ludziom znaczne kwoty, które uiszczać powoli podjąłem się dobrowolnie, żeby chłopca nie kompromitować. Zarwał on łotrów, ale także i uczciwych ludzi, którzy mu dobrodusznie zaufali... Chociaż u znanych lichwiarzy co nieco utargowałem, grożąc im skargą, bądź co bądź wsadziłem sobie na kark ciężkie brzemię, które ledwie dźwigam... które mnie przygniata i z sił wyczerpuje...

— A gdybym tak ja na przykład dał potrzebną sumę na spłacenie dokuczliwszych długów i na powrót syna do kraju?

Korski, poruszył się nagle na krześle, jakby iskrą elektryczną wstrząśnięty i wlepił błyszczące oczy w Bogajewskiego.

— Na co pan sobie ze mnie żartuje?... Założyłbym się, że jesteś równie, jak ja, biedny... Chyba, że spadła na cię jaka sukcesyjka... lecz i w to wątpię, bo bogatych krewnych, o ile słyszałem, nie masz i nie miałeś...

— Tatusiu, proponuję ci pomoc zupełnie na seryo.

— W takim razie, gadaj pan, panie Bogajewski... tylko prędzej... proszę cię, gadaj prędzej!

— Zaraz i tu nie mogę. Pomówię z tatusiem o tym interesie dziś wieczorem. Przyjdź pomiędzy szóstą a siódmą, czekać na ciebie będę przed hotelem, przechadzając się po ulicy od pomnika Unii do krakowskiej bramy.

— Zgoda!... przyjdę. Teraz zaś lecę do biura, bo to już wielki czas!... Więc do wieczora. Przyjdę niezawodnie... Czy tylko przypadkiem pan nie żartuje?

— Ależ, nie, nie! Nie śmiałbym... i nie chcę żartować.

Adolf z Jerzym, pozostawszy sami w opustoszałej restauracyi — spojrzeli na siebie w milczeniu.

— Interes jest na dobrej drodze — rzekł Bogajewski po niejakimś czasie. — Czy hrabia może teraz rozporządzać paru tysiącami rubli?

— Mogę.

— Czy mi je dasz, jeśli tego będzie potrzeba?

— Ma się rozumieć. Jutro ci je doręczę.

— No, to powiem śmiało, żeśmy rzecz ubili. Korski zrobi, co tylko zechcemy, bo kocha syna do szaleństwa; żeby go sprowadzić z zagranicy i mieć przy sobie, gotów wszystko zaryzykować. Pokaże nam testament księżnej, a gdy go przeczytasz, będziesz mógł wybrać i postanowić, co lepsze: czy ożenić się z panną Zofią Żarską, czy puścić ją w trąbę.

— Ach, mój drogi Bogajesiu, co ja bym począł bez ciebie? Wyprowadzasz mnie ze strasznego kłopotu... Jesteś prawdziwym moim zbawcą...

— I prawdziwym przyjacielem. Hrabia jesteś nieoględnym, nie pojmujesz, jaką szkodę wyrządzić ci może dziewczyna, dzięki wpływowi, jaki ma na księżnę. Ja to od razu odgadłem, dla tego zawsze doradzałem ci ożenek z panienką, bo w tym związku widzę twój interes.

— Bój się Boga! Wielogrodzki, żeniący się z córką mordercy!

— Wielogrodzki... tak, lecz... lecz pozwól mi być szczerym. Co powiem teraz, wydawać ci się może bardzo przykrem, lecz chciej wierzyć, że słowa moje wypływają z głębokiej dla ciebie życzliwości. Otóż przeszłość matki twojej rzuca na ciebie cień w waszym arystokratycznym świecie... a ojciec twój, chociaż Wielogrodzki, w łeb sobie palnął, doprowadzony do samobójstwa rozpaczą po ucieczce wiarołomnej żony. Kochany hrabio, gdy pomyślisz o tem wszystkiem, przyznasz pewno, że w pośród rodzin o wielkich i nieskalanych nazwiskach, a zarazem bogatych, szukać nie możesz żony, bo żadna z nich córki za ciebie nie wyda.



Jerzy nie słuchał już księżnej. Usiadł i myślał...

— Adolfie!

— Mówiąc o interesach, musimy mówić otwarcie. Jestem, czy nie jestem twoim przyjacielem? Jeśli mnie za swego przyjaciela uważasz, pozwól mi mówić prawdę, szczerze, bez ogródek...

— Więc wiedziałeś?

— Wszystko i od dawna. Znałem twoją ciotkę, hrabinę Jelską i jej kochanka... dziś męża, Kazimierza Molskiego. W fakcie samym zamordowania Jelskiego tkwi dotąd niewyjaśniona tajemnica, oskarżająca poniekąd tak piękną panią Marcelinę, jak jej byłego amanta.

— Czyżbyś posądzał moją ciotkę o...?

— Widzę, że niepotrzebnie się rozgadałem. Chciej zapomnieć o słowach, które przed chwilą wymówiłem.

— Och, domyślam się... domyślam; musisz wiedzieć o bardzo wielu rzeczach... Może nawet znałeś moją matkę?

— Znałem, dobrze znałem.

— Czy wiesz, co się z nią stało?

— Znikła nagle przed laty... poczem nie spotkałem się z nią nigdy.

— Czy umarła?

— Może... a może ją kto zabił. Kobiety, pozostające w jej położeniu, narażone bywają często na smutne katastrofy.

Jerzy zagryzł wargi. Łatwo było po nim poznać, że ta rozmowa udręcza go i upokarza, lecz udając spokój, odpowiedział:

— W świecie, w którym żyję, znaczna część kobiet posiada przeszłość podobną.

— Nie potrzebujesz mi tego mówić, kochany hrabio, twój świat był przecie niegdyś i moim światem.

— Lecz tak dawno z niego wyszedłeś, że go już znać należycie nie możesz.

— No, mniejsza o to! Zajmijmy się ważniejszą sprawą... czas wielki żebyś hrabia pojechał do Zahajec...

— Tak, po pieniądze... Ty zaś musisz zająć się przekupieniem dependenta.

— Już ja to zrobię... lecz co uczynisz potem?

— To zależeć będzie od treści testamentu.

Rozstali się, podając sobie dłonie.

Bogajewski przyrzeczenia dotrzymał. Wieczorem, w drugorzędnej restauracyjce, spoił starca i wymógł na nim zobowiązanie, że im dostarczy rękopisu ostatniej woli księżnej Sieńskiej, za wynagrodzeniem trzech tysięcy rubli. Testament tylko przez noc miał pozostać w ręku Jerzego, aby dependent, odebrawszy go o świcie, mógł złożyć cenny dokument na swojem miejscu w ogniotrwałej szafie rejenta, który — wyjeżdżając na dwa dni z Lublina — powierzył od niej klucze swemu zastępcy.

Wszystko stało się według ułożonego planu. Zdziecinniały staruszek otrzymał umówioną kwotę, a Jerzy, który przywiózł ją wieczorem, zabrał testament i udał się z nim do Zahajec. Nazajutrz zaś z rana przybył znowu do miasta, aby go zwrócić dependentowi.

— Farsa skończona! — rzekł Bogajewski, gdy sam na sam pozostał z przyjacielem. — Chodźmy teraz na śniadanie.

— Pójdziesz sam, bezemnie — odparł Wielogrodzki. — Po śniadaniu, zrobisz dobrze, mój drogi, jeśli pierwszym pociągiem, jaki wychodzi z Lublina, machniesz natychmiast do Warszawy.

— Czy tu przeszkadzam?

— Może.

— Coś się w usposobieniu hrabiego zmieniło od wczoraj.

— Jutro i pojutrze... i tygodni parę będę bardzo zajęty. Mam do odegrania trudną rolę.

— Czy rolę kochanka?

— Tak... zakochanego.

— W pannie Zofii?

— Niestety!

— Więc stan interesów?...

— Fatalny!

— A testament?

— Są dwa. Oba zamknięte w jednej kopercie; jeden ciotki, drugi stryja... Identyczne takie same...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Śmierć w nurtach Bełdurki: Sekcya zwłok nieszczęśliwego pastuszka.

Straszna kara śmierci u Turków.

Ludy Wschodu, zwłaszcza ludy, wyznające religię Mahometa, są we wszystkiem prawie fanatyczne. Fanatyzm każe im na polu walki w kałuży krwi, po wałach trupów kroczyć za chorągwią proroka i ginąć z uśmiechem na ustach, w błogiej nadziei dostania się do nieba, gdzie bojowników czekają niewypowiedziane rozkosze, gdzie w gajach wspaniałych przechodzą się cudownie piękne, o śnieżnych ramionach i jarzących się jak węgle oczach, odaliski.

Fanatyzm każe im mordować każdego giaura, któryby się odważył badać np. tajemnice haremu jednego z wyznawców proroka. Nawet w wyrokach śmierci, sposób, w jaki skazaniec ma być stracony, obmyślany jest z piekielną, iście fanatyczną bezwzględnością i okrucieństwem. Europejczycy, dzięki kulturze wyzwoleni od fanatyzmu, nie mogą bez najwyższego oburzenia czytać opisów tracenia zbrodniarzy u ludów Wschodu.

U nas, w Europie, kara śmierci przez powieszenie uważana jest za okrutną i wiele już debatowano nad tem, ażeby ją znieść. Na Wschodzie kara śmierci ma być nie tyle upokorzeniem i hańbą, ile rzeczywiście karą i to karą, dającą się bardzo dotkliwie skazanemu odczuwać; ma być męką.

Tam nie wystarcza sama śmierć. Skazaniec w ostatniej chwili musi rzeczywiście cierpieć, wić się w mękach bolu, wyć w bezsilnej rozpaczy, jak zwierzę ujarzmione i ginące wśród największego cierpienia. W ostatniej godzinie musi skazaniec odpokutować za swe przewinienie wsposób straszny. Tam fanatyczna wiara każe zadawać zbrodniarzom najwyszukańsze męki, każe smołą oblewać zbrodniarzy i zapalać ich, by ginęli śmiercią powolną, okrutną, w płomieniach. A wszystko to dlatego, że religia zakazuje źle czynić i ci, którzy zbrodniarza karzą, mają tem większą zasługę, im okrutniejszą karę na przestępcę wymyślą.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze rycina przedstawia straszny obraz egzekucyi na jednym z żołnierzy tureckich w Macedonii, który popełnił ciężkie wykroczenie przeciw swym władzom. Sam widok tej grupki ludzi, otaczającej armatę i przywiązanego do niej skazańca jest wprost straszny i przerażający. Wszystkie twarze są zimne, jakby obojętne, ale widać w nich, że oni takiej, a nie innej, chcą kary dla przestępcy. A jakaż to kara? Skazaniec, jak widzimy, przywiązany jest do armaty. Twarz jego straszna, wykrzywiona bólem i szalejącą bezsilnością rozpaczy. Usta otworzone jakby chciały krzyczeć i w ostatniej życia minucie zionąć całemu światu i niebu przekleństwo. Oczy, rozwarte w słup, patrzą w bezbrzeżną dal, jakby szukały ukojenia w żółtych, spalonych żarem słońca piaskach pustej okolicy. Na czystem niebie szafirowem płonie w pełni blasków słońce, rzucające pogodę życia w złotych promieniach na ziemię. Skazaniec patrzy w dal, jakby rachował sekundy, z których każda zbliża go bardziej do grobu. Bo oto do lontu armaty zbliża żołnierz ogień. Chwila, a straszliwy wybuch granatu rozerwie skazańca w kawały. I nie pozostanie zeń, jeno kupa szczątków, porozrzucanych na wszystkie strony. Może gdzie spadnie głowa, nie rozszarpana na strzępy, i w śmiertelnych podskokach tarzać się będzie po piasku, dopóki krew z niej nie ujdzie i nie zamrze ostatnia iskra życia. Tam serce, wyrwane z wnętrzności, w febrycznych drgnieniach zamierać będzie powoli. A może wybuch granatu rozszarpie skazańca tak, że tylko drobne części ciała, kości i kosteczki zeń pozostaną.

Szczątki te, dymiące jeszcze ciepłą krwią, zbiorą żołnierze do paczki i pochowają w ziemi. Zaiste, straszna śmierć i tylko u ludów Wschodu, fanatycznie wierzących i fanatycznie karzących, możliwa.

Śmierć w nurtach Bełdurki.

Woda to żywioł równie chciwy jak ogień i pochłaniający równie liczne ofiary. Niema poprostu miesiąca, w którymby nie było jakiegoś wypadku utonięcia, wyjąwszy naturalnie miesiące zimowe, w których nasze rzeki pokryte są lodem. Ale i wtedy nawet nieszczęśliwe wypadki na rzekach większych, jak Wisła, San i inne, są dość częste.

O nieszczęśliwym wypadku utonięcia w małej rzeczułce Bełdurce donosi nam nasz korespondent z Brodów. Dnia 26 z. m. znaleziono we wsi Czarnolesie, koło Brodów, w Bełdurce, trupa młodego chłopaka, jak się później okazało, syna ubogiego polowego z Czarnolesia. Chłopak ten, liczący 16 lat, w ten sposób pomagał rodzicom, że pasał bydło i zarabiał za to przynajmniej na swoje utrzymanie. Wspomnianego dnia wypędził też, jak zwykle, bydło, swej pieczy powierzone, na pastwisko, które z jednej strony przytykało do rzeki Bełdurki. Nagle zerwała się straszna burza, spadł grad, bydło przerażone rozbiegło się po polu. Biedny pastuszek, aczkolwiek i jemu grad dawał się dobrze we znaki, spędzał, jak mógł, bydło na jedno miejsce. Zobaczywszy, że jeden wół przepłynął Bełdurkę i po drugiej stronie rzeki pędzi na-



Straszna kara śmierci u Turków: Stracenie skazańca wystrzałem z armaty.

przód, skoczył ze stromego brzegu w wodę tak nieszczęśliwie, że utonął. Zwłoki znaleziono w miejscu, oddalonem o przeszło 400 metrów od miejsca nieszczęsnego skoku.

Na illustracyi naszej widać trupa nieszczęśliwego chłopca w czasie dokonywania na zwłokach sekcyi sądowo-lekarskiej.

Wypadek to drobny, ale przejmujący swą grozą. Biedny chłopak, któremu chodziło nie tyle o własne życie, ile o uratowanie wołu, powierzonego jego pieczy, padł ofiarą swego obowiązku. Oddał życie własne za wołu, bo wiedział, że gdyby wół był się zabił, uciekając, on byłby za to ciężko odpokutował, straciłby służbę, a tem samem jedyny środek utrzymania. Nędza stała się przyczyną śmierci młodego chłopaka.

Nowy profesor Uniw. Jagiellońskiego.

Wydział medyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego uzyskał w tym roku nową katedrę, mianowicie katedrę chorób umysłowych i nerwowych. Wykłady z zakresu psychopatologii odbywały się wprawdzie i poprzednio, ale katedra specyalnie tych chorób oficyalnie nie istniała. Profesorem nowej katedry zamianował cesarz dra Jana Piltza. Prof. Piltz jest tedy pierwszym urzędowym przedstawicielem katedry chorób umysłowych na naszym uniwersytecie.

Nowy profesor, którego podobiznę zamieszczamy obok, jest obecnie w pełni sił i zdrowia, liczy bowiem lat 35. Urodził się w r. 1870 w Ostrowie pod Warszawą. Po ukończeniu gimnazyum, udał się na studya lekarskie do Zurychu w Szwajcaryi, złożywszy poprzednio w Bernie Szwajcarskiem tamtejszy egzamin dojrzałości, aby potem módz objąć posady lekarskie w Szwajcaryi. W ciągu swych studyów pełnił obowiązki asystenta przy katedrze anatomii i histologji u prof. Stöhra. Uzyskawszy stopień doktora, pełnił od r. 1895 — 1900 obowiązki asystenta klinik psychiatrycznych prof. Forela i prof. Bleulera w Zurychu, prof. Martina w Genewie, w końcu obowiązki zastępcy



Nowy profesor Uniw. Jagiellońskiego: Prof. Jan Piltz pierwszy profesor nowo utworzonej katedry psychopatologii na uniwersytecie krakowskim.

dyrektora prof. Mahaima w wielkim zakładzie i klinice dla obłąkanych, pod Lozanną. Z posady tej jednak wkrótce ustąpił i udał się na dalsze studya do Paryża, do kliniki chorób nerwowych prof. Dejerinea w Salpetriere i do kliniki prof. Bachterewa w Petersburgu. Wróciwszy z powodów rodzinnych do Warszawy, złożył ponownie egzaminy na lekarza i dra medycyny, poczem w roku 1901 osiadł w Warszawie, jako prowizoryczny, potem jako stały ordynator oddziału chorób nerwowych w szpitalu na Pradze.

Prof. Piltz jest autorem kilkunastu prac z zakresu psychiatryi, nauki o chorobach nerwowych, anatomii i fizyologii systemu nerwowego. Prace te, ogłoszone w polskim, niemieckim i francuskim języku, w zawodowych czasopismach, zjednały mu głębokie uznanie kół naukowych i utorowały mu drogę do katedry w Jagiellońskiej wszechnicy.

Czynność nowego profesora na naszym uniwersytecie stanie się depiero wtedy zupełną, gdy uzyska klinikę dla chorób umysłowych i nerwowych, Klinika ta stanąć ma w najbliższym czasie na gruncie szpitala św. Łazarza, ofiarowanym przez kraj. Tymczasem prof. Piltz ograniczać się musi do wykładów ambulatoryjnych.

Krwawe święto robotnicze w Królestwie.

Na dzień 1 maja zapowiadano w Królestwie od miesiąca już jeśli nie wybuch powszechnej rewolucyi, to olbrzymie manifestacye o charakterze rewolucyjnym. Robotnicy, zorganizowani pod sztandarem polskiej partyi socyalistycznej, przygotowali się też należycie do święta roboczego. Wiedzieli bowiem, że choćby demonstracye były najspokojniejsze, to carscy siepacze skorzystają ze sposobności i dadzą upust krwiożerczej swej chuci. I nie zawiedli się. Rozpasane czynownictwo przyczyniło się do tego, że znowu polała się krew robotnicza na ulicach Warszawy, Łodzi, Kalisza, najważniejszych centrach organizacyi robotniczej.

I działy się tam rzeczy, którym wprost wierzyć trudno, rzeczy, wołające już nie o pomstę do nieba, ale o rozpowszechnienie ich jak najszerzej, ażeby w ten sposób oddziałać na wszechludzką opinię świata cywilizowanego, rzeczy, urągające kulturze XX wieku. Zaszły tam fakta tak haniebnej, brutalnej, dzikiej, prawdziwie barbarzyńskiej przemocy, że są one skandalem wieku naszego i domagają się sądu, potępienia i kary.

1 maja w Warszawie.

Zajaśniał pierwszy dzień maja, pogodny, piękny dzień, który radością życia napełnił dusze i serca



Krwawe święto robotnicze w Królestwie: Ohydne zamordowanie przez kozaków ranionego podczas starcia z wojskiem robotnika u bramy szpitala Dzieciątka Jezus.

najbiedniejszych. Ci najbiedniejsi właśnie obchodzić mieli święto, święto wielkie, bo będące wyrazem solidarności i wspólności uczuć i myśli mas robotniczych całego świata. Świętowało rzeczywiście wszystko. Nie było dorożek. Jeżeli się jakaś ukazała, zawracano ją do domu. Wszystkie sklepy, zakłady przemysłowe i handlowe były zamknięte. Wreszcie ustał także ruch tramwajowy. Około południa kilkunastotysięczny tłum robotników wyszedł z dzielnicy robotniczej od placu Broni i ulicy Żelaznej pod sześciu sztandarami, śpiewając pieśni rewolucyjne i dążąc ku Alejom Jerozolimskim. Tam, przy ulicy Teodora, najniespodziewaniej, bo z ukrytej zasadzki, nastąpiła napaść. Z za płotów, z bram i kryjówek wypadły jeden za drugim oddziały ułanów, kozaków i piechoty. Dano salwę — padli pierwsi zabici. Druga salwa – i tłum począł uciekać. Wtedy poczęła się rzeź, łowienie uciekających, masakrowanie szablami, nahajkami i kolbami, które przemieniło się wkrótce w haniebne znęcanie się nad rannymi; rannych bito, kopano, tratowano, ciągnięto za włosy, kłuto bagnetami, nie pozwalając na żaden akt ratunku, nawet w obliczu śmierci, nawet w chwili widocznego konania. Wedle zgo-



Ignacy Paderewski chory: Portret Ign. Paderewskiego.

dnych doniesień korespondentów, nie było zamiarem tłumów prowokować wojska, czego najlepszym dowodem fakt, że robotnicy przeszli już kilkanaście ulic i nigdzie nie było prowokacyi. Wojsko właśnie sprowokowało tłumy. Był to więc brutalny mord, za który spada odpowiedzialość na rząd przed całym światem cywilizowanym. Ofiarą mordu padło około 200 ludzi, z tych 60 przeszło zabitych, reszta rannych, nie licząc rannych lekko, którzy zbiegli do domów.

Wieczorem około godziny 9 rzucono bombę na ulicy Marszałkowskiej. Rzucił ją nieznany jakiś człowiek z za parkanu pod pułkownika sztabu, który właśnie przejeżdżał z kilku kozakami. Błysło, hukło, zadźwięczało szkło, świst rozszedł się daleko, a w tejże chwili usłyszano jęk, wycie i pisklewe rżenie koni. Na drugi dzień jeszcze wisiały na drutach telegraficznych trzewia ludzkie czy końskie, a łeb cały koński spadł aż z dachu z drugiego piętra.

Padło kilkunastu kozaków i robotników. Ulicę całą zamknięto wkrótce kordonem i uwięziono mnóstwo osób. Sprawca uciekł jak wiatr. Teraz rozpoczęła się znowu rzeź niewinnych. Kozacy, rozwścieczeni i rozjuszeni krwią, już rano przelaną, wpadali do domów i masakrowali każdego, kto się nawinął. Jeden z kozaków wpadł do mieszkania stróża i przebił szpadą dziecko w kolebce. A takich wypadków było więcej. Na każdym kroku spotykało się ofiary dzikości i barbarzyństwa „walecznej armii rosyjskiej" dumnej, bo pałasze ich ociekały krwią. Naturalnie, zwyciężali – bo szli przeciw bezbronnym tłumom. W Mandżuryi umieją się tylko... cofać w porządku...

Na ilustracyi naszej widzimy jednę z takich scen grozą swoją wołających o pomstę do nieba. Jeden z robotników, w czasie starcia z kozakami raniony, dowlókł się pod bramę szpitala Dzieciątka Jezus, aby tam sobie dać rany opatrzyć. Upadał ze znużenia i pod bramą osunął się na ziemię, nie zdolen się podnieść. Bramę szpitala zatrzaśnięto, jakby uaumyślnie, aby nieszczęśliwemu odebrać ostatnią nadzieję. Ale nie koniec na tem. Nadjechali kozacy — upojeni już krwią, rozlaną poprzenio na ulicy. Zobaczyli konającego u bramy szpitala. I konającemu jeszcze nie dali spokoju. Niemym głosem, pełnym błagania wejrzeniem prosił nieszczęśliwy o litość. Nie. Siepacze carscy zakłuli go bagnetami, że pozostała zeń jeno zbita, szara, bezbarwna prawie masa. Typowy obraz dzikości azyatów...

Rzeź w kościele w Kaliszu.

Do jakiego stopnia zdziczenia i barbarzyństwa doszli siepacze carscy, o tem najwymowniej świadczy dziki napad sołdatów na kościół w Kaliszu. W dzień 1 maja obchodzono w Kaliszu uroczystość św. Wojciecha procesyą z kościoła kolegiaty do starożytnego kościółka św. Wojciecha na Zawodziu. Szło ludu kilkanaście tysięcy, cechy, stowarzyszenia z chorągwiami i insygniami. Nastrój tłumów był poważny, pełen godności, świąteczny i religijny. Po nabożeństwie pewna część z tłumu oddzieliła się i z pieśnią rewolucyjną na ustach ruszyła w pochodzie.

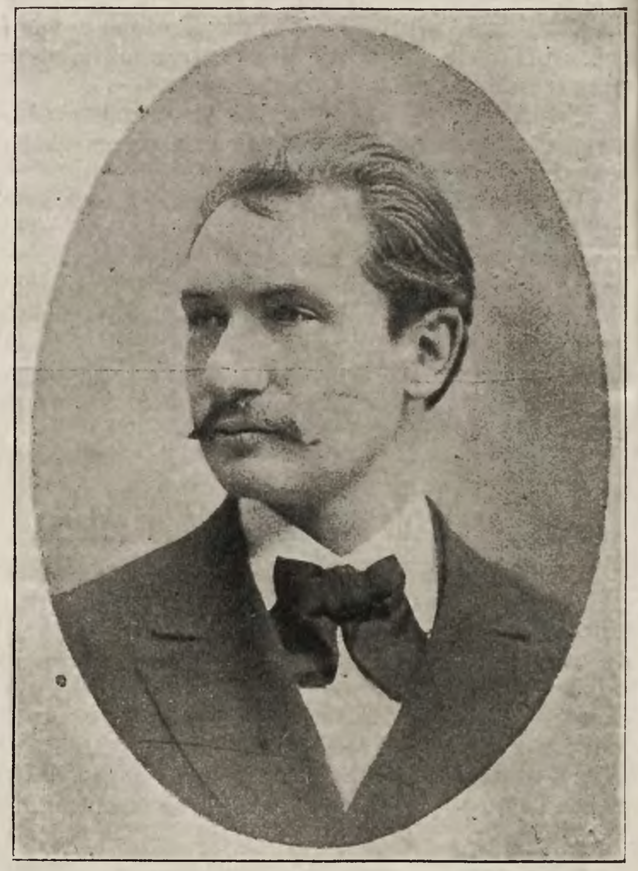
Wtedy żołdacy dali ognia. Tłum się rozbiegł, ale w kościele pozostała pokaźna liczba pobożnych zatopionych w modlitwie. Kozacy, rozjuszeni i rozwścieczeni, że nie udało im się zasłać trupami ulicy, wpadli do kościoła i zaatakowali modlących się. Rozpoczęła się rzeź, okropna, ścinająca krew w żyłach na samo jej wspomnienie. Z dobytymi szablami rzucili się żołdacy na modlących się, masakrując i zbryzgując posadzkę kościoła krwią ofiar. Co więcej! Do tłumu, zgromadzonego w kościele, dano jeszcze salwę, od której dwoje ludzi padło trupem. Cały kościół spłynął krwią; krew strugami płynęła po posadzce, krew lśniła się na ścianach i splamiła ołtarze. Miejsce modlitwy cichej i spokojnej rozbrzmiewało jękami rannych, dzikimi okrzykami pijanego mordem żołdactwa, rzężeniem konających i rozpaczliwymi zgrzyty bezbronnych, których lada chwila czekała śmierć od sołdackiego pałasza.

Tę straszną, nie dającą się opisać chwilę, przedstawia zamieszczona w dzisiejszym numerze rycina. Niema człowieka, któryby, czytając opis tego barbarzyństwa, nie zapałał nienawiścią do carskich siepaczy i rządu. Rzeź ta w kościele, w miejscu, gdzie chyba nikt nie myślał o prowokacyi morderców, ubranych w szynele i czapki z carskiemi orłami, była ohydnym aktem rzezi niewinnych, aktem brutalnej przemocy i barbarzyństwa. Ilustracya nasza, zrobiona zaraz po wypadku i nadesłana nam przez okazyę do Krakowa, może choć w części dać wyobrażenie o gwałtach jakich się dopuszcza rząd carski. A Europa patrzy na to, cywilizowana Europa, kulturalna...

Ignacy Paderewski chory.

Olbrzymie wrażenie w całym świecie u wszystkich, zajmujących się choćby pobieżnie muzyką, wywołał w ubiegłym tygodniu telegram, że znakomity pianista, autor wspaniałej opery „Manru", Ignacy Paderewski, zachorował na zapalenie opon mózgo-rdzeniowych. Głoszono, że skutkiem tej choroby działalność jego artystyczną, według zdania powag lekarskich, należy uważać za skończoną, ze względu na skutki meningitis w dziedzinie fizycznej i umysłowej. — Nadchodzące później wiadomości zmniejszyły jednak grozę pierwszego telegramu. Wedle nich, genialny kompozytor, odbywający obecnie po Ameryce północnej podróż artystyczną, wystąpił w Londynie, w stanie Ontario, z koncertem. Mając zwyczaj czynienia gwałtownych ruchów głową, uczuł nagle silny postrzał w karku, poczem nastąpił dotkliwy ból w tyle głowy i stosie pacierzowym. Nie przerwał jednak koncertu, ale nawet udał się w dalszą drogę, do Niagara Falls, gdzie stan jego pogorszył się. Obecnie znajduje się Paderewski w Bostonie pod troskliwą opieką lekarzy.

Jak donoszą z Bostonu, choroba Paderewskiego jest nerwową prostracyą. Bezpośrednim powo-



Poeta-rzemieślnik: Adam Staszczyk, autor wystawionej w ubiegłą sobotę w teatrze miejskim w Krakowie sztuki p. t. „Bartosz Głowacki".



Pożar w Ponikowie: Część cerkwi, którą udało się uratować od spalenia.

dem tej choroby ma być wstrząśnienie, którego doznał w nocy z 19 na 20 kwietnia b. r. w pociągu, którego lokomotywa wykoleiła się. W czasie tej katastrofy Paderewski został gwałtownie rzucony o ziemię.

Lekarze nie tracą nadziei, że po dłuższym czasie zupełnego spokoju nastąpi powrót zdrowia. Znakomity kompozytor potrzebuje zresztą spoczynku. Spoczynek to i potrzebny i należycie zasłużony. Kto gra tak, jak Paderewski, kto, jak Paderewski, gra duszą całą i nerwami, kto w martwe klawisze fortepianu potrafi wlać tyle uczucia, ciepła, życia i wdzięku i roztoczyć przed słuchaczem zaczarowane światy melodyi, czy to tęsknych, szopenowskich nokturnów, czy to swych własnych utworów, przesiąkłych słowiańską prostotą i czarem, ten, działając nietylko na duszę, ale i nerwy, musi sobie samemu nerwy postrzępić. Spokój tylko i to dłuższy, bezwarunkowy spokój, niezakłócony niczem, może mu powrócić zdrowie, a społeczeństwu genialnego pianistę.

Poeta-rzemieślnik.

Lud, jego zwyczaje i obyczaje, wierzenia i przesądy — to sezam, wabiący niewyczerpanymi swymi skarbami poetów i dramaturgów. Ale nie dla każdego stoi ten sezam otworem; chcąc, by zaklęte podwoje jego rozwarły się, znać trzeba koniecznie sposób i hasło, umożliwiające dostęp do zaklętych skarbów poezyi. Wielu kołata do bram tych, nie wielu jednak przekroczyło jej progi. Bo przed progami temi wyrzec trzeba hasło — miłości. Z takiem hasłem na ustach wprowadzali nas w czarowną dziedzinę poezyi ludowej na scenie niezapomniany nigdy Anczyc, Galasiewicz, Domnik i może największy z dramaturgów ludowych dzisiejszej doby— jedyny godny spadkobierca Anczyca – A. Staszczyk.

Ciekawy to, wyjątkowy typ Krakowa. Postać jakby wycięta z starych sztychów, prawdziwy rodzimy okaz zacnego, serdecznego, a jowialnego mieszczanina z czasów „wolnego miasta Krakowa".

Pan Adam jest z zawodu i profesyi majstrem ślusarskim, a zamiłowany zarówno w swym fachu jak literaturze — tworzy prawdziwe swego rodzaju — majstersztyki. Artystyczne wyroby, pochodzące ze znanej pracowni jego przy ul. Krowoderskiej — zyskiwały niezliczone razy odznaczenia i zaszczytne premie na krajowych i zagranicznych wystawach. Ale oprócz warstatu ślusarskiego posiada Staszczyk o wiele cenniejszy warstat literacki. W mieszkaniu jego — nad fabryką, stoi przy oknie wielkie staroświeckie biurko, zarzucone papierami, brulionami i książkami. Po mozolnie spędzonym dniu w fabryce zasiada p. Adam wieczorami do tego drugiego warstatu, gdzie zamiast młotów i dźwigni pracuje twórcza myśl jego i zacne, kochające świat i ludzi serce poety-rzemieślnika.

Z cichego tego warstatu wyszły nie mniejszej wartości dzieła, a społeczeństwo ze zdumieniem i zachwytem słuchało ze sceny prostych a pięknych, serdecznych a silnych słów jego utworów. Staszczyk, pomimo absorbującej czas i siły fizycznej pracy — tworzy na polu literackiem bardzo wiele. Każda jego sztuka obiegała wszystkie sceny polskie, jednając autorowi zasłużone uznanie. Dość wymienić „Noc świętojańską", „Filaretów", „Noc w Belwederze", „Kościuszko w Petersburgu" i inne.

Obecnie napisał Staszczyk nowe, wspaniałe dzieło sceniczne. Jest to obraz historyczno-ludowy p. t. „Bartosz Głowacki". Treść, osnuta na tle powstania Kosciuszkowskiego — przedstawia w pełnym świetle dzielnego kosyniera.

I dobrze się stało, że rzecz tę napisał właśnie Staszczyk. On jeden był do napisania takiej sztuki odpowiedni, bo nikt, jak on, nie poznał tak do głębi duszy krakowskiego chłopa, nie wymarzył sobie Głowackiego lepiej, jak Staszczyk. I chociaż jego „Bartosz Głowacki" nie odpowiada może zbyt wygórowanym dzisiaj wymogom sztuki, to jednak jest on w naszej literaturze nabytkiem miłym i pożądanym.

Pożar w Ponikwie. Spalona cerkiew.

Najgroźniejszym dla wieśniaka wrogiem jest pożar. Wróg to utajony, wybuchający znienacka i niespodziewanie, a przez to wyrządzający tem dotkliwsze szkody, bo niszczący w płomieniach domy owe ogniska rodzinne, w których, choć bieda czasami doskwiera, zawsze ciepło i pogodnie. A nie ma roku, żeby pożary nie niszczyły w Galicyi mnóstwa całych gmin, nieraz miasteczek całych. Mimo usiłowań władz, do dziś dnia nie zdołano w naszym kraju zorganizować wszędzie straży pożarnych; nasi chłopi nie chcą poprostu zrozumieć, że pożar wybuchnąć może, ale że też można zapobiedz zbytniemu rozszerzaniu się ognia i przez to zmniejszyć poważnie rozmiary klęski. Nasz chłop jest fatalistą i trudno mu wyperswadować, że nie koniecznie „przeznaczenie było" takie, ażeby cała wieś poszła z dymem. Chłop wierzy silnie, że ogień, to dopust boski, przeciw któremu niema rady. To też rok rocznie setki wieśniaczych gospodarstw ogień zamienia na zgliszcza, pozbawiając rodziny całe dachu nad głową i zmuszając je do żebraniny.

Kronikę pożarów tegorocznych rozpoczyna pożar w Ponikwie. Ponikwa, duża, ładna wieś, o 10 kilometrów oddalona od Brodów, jest własnością hr. Olgi Borkowskiej, tej samej, której zginęła z wagonu słynna kolia brylantowa, owo corpus delicti w znanym Czytelnikom procesie konduktorów o kradzieże kolejowe, jaki się rozegrał zeszłego roku w Krakowie. Onegdaj wybuchł w Ponikwie pożar, który zniszczył doszczętnie 4 gospodarstwa włościańskie. Mimo rozpaczliwej akcyi ratunkowej nie udało się włościanom zapobiedz szerzeniu się ognia, który przerzucił się na znajdującą się w pobliżu cerkiew. Ofiarą pożaru padła prawie cała świątynia; pozostała z niej tylko ta część, którą przedstawia nasza rycina. Po lewej stronie widzimy przez pół spalony dach niebo — po prawej i w głębi główny ołtarz, który w dziwny sposób ocalał.

Cerkiew ta ma swoją historyę nieszczęść. Przed kilkunastu laty zniszczył ją doszczętnie orkan, szalejący przez kilka dni. Dzięki staraniom proboszcza i ofiarności pobożnych parafian, zdołano w przeciągu kilku lat świątynię na nowo odbudować i upiększyć. Obecnie znowu padła pastwą ognia. Ratunek jej był ogromnie utrudniony dlatego, że dostęp do cerkwi jest bardzo zły. To stało na przeszkodzie energiczniejszej akcyi. Inaczej dałoby się może uratować więcej, niż sam wielki ołtarz.



Krwawe święto robotnicze w Królestwie: Straszliwa rzeź w kościele w Kaliszu.



Śladami zbrodni

Senzacyjna powieść osnuta na tle pamiętników tajnego detektywa.

Z rosyjskiego przełożył

A. S.

10 Ciąg dalszy.

— Tutaj, na prawo! o, klucz tkwi jeszcze w zamku...

— Ja nie chcę! zlitujcie się! ja tam nie chcę, ja tam nie pójdę — błagał przeraźliwym głosem starzec, opierając się, ile tylko sił mu starczyło.

Ale opór był bezskuteczny. Włodzimierz jedną ręką otworzył drzwi i przy pomocy żandarma wepchnął starego Lubasza do tej samej komory — w której przed czterdziestu ośmiu godzinami sam leżał bez czucia.

— Tutaj przepędzisz noc, Wasylu! — rzekł poważnie — przypomnij sobie dobrze, co mnie spotkało w tem miejscu i biednego Borysa Jaroszyna, który zginął z rąk waszych. Do rana masz czas pomyśleć o swych zbrodniach i zrobić dokładny rachunek sumienia. Zdaje mi się nawet, że w tem miejscu przyjdzie ci to bardzo łatwo.

Starzec spojrzał błagalnie na detektywa.

— Jeśli macie choć iskierkę litości w sercach, nie zostawiajcie mnie tutaj! — jęknął — porzućcie mnie, gdzie chcecie, będę tam leżał spokojnie i czekał mojego losu, ale stąd tylko mnie weźcie, tu mnie nie pozostawiajcie!...

Włodzimierz nie zwracał uwagi na te prośby; zatrzasnął drzwi, obrócił klucz w zamku raz i drugi, zasunął jeszcze rygle, potem schował klucz do kieszeni i poszedł do izby szynkownej.

Właśnie gdy wchodził tam z żandarmem, Wiera przyszła do siebie i podniosła się z ławy. Włodzimierz pospieszył ku niej.

— Przebacz mi, Wiero! — szepnął do niej łagodnie, spoglądając czule w jej modre oczy — przebacz mi! To, co uczyniłem, było moim obowiązkiem. Nie mogłem i nie wolno mi było inaczej postąpić. Wiem dobrze, jak wielką sprawiłem ci boleść, ale może łatwiej ją zniesiesz, gdy ci powiem, że ja cierpię wraz z tobą i że dałbym chętnie pół życia, gdybyś mogła tylko zapomnieć o wszystkiem...

— Gdzie jest mój ojciec? — spytało dziewczę grobowym głosem.

— Na razie musieliśmy go zamknąć w bezpiecznem miejscu, zanim jutro odstawimy go do miasteczka — odparł Włodzimierz.

Dreszcz przebiegł Wierę od stóp do głowy.

— A... tamten?... — odezwała się, spoglądając z trwogą ku drzwiom szynkowni.

— Iwan, zły duch tej gospody, zginął w lesie od kul żandarmów.

Nastała chwila ciszy, poczem Wiera szepnęła takim tonem, że aż serce krajało się Włodzimierzowi.

— Dlaczegóż ja nie mogłam tu umrzeć? Byłam tak szczęśliwą, gdy padłam bez duszy na ziemię, gdy wśród ciemności znikł mi z oczu ten smutny obraz! Czegóż ja mogę jeszcze spodziewać się od tego życia, ja — córka mordercy i zdrajczyni własnego ojca!...

— Czy ty myślisz, że ja cię kiedy opuszczę, Wiero? Cokolwiek bądź się stanie, zawsze będziesz miała we mnie oddanego przyjaciela, zawsze będę czuwać nad tobą! Nie czas dzisiaj mówić, co dzieje się w mojem sercu, jak tęskniłem za tobą, jak z dnia na dzień myślałem o tem, kiedy cię wreszcie zobaczę! Czy myślisz, że prawy mężczyzna da się odstraszyć jakiemiś głupiemi względami?

Dziewczę podniosło oczy i spojrzało na detektywa. Usta jej otworzyły się, jakgdyby chciała coś powiedzieć, ale tylko jakiś niezrozumiały szept dał się słyszeć i naraz łkanie wstrząsnęło całą jej postacią.

— Czy mogę cię teraz odprowadzić do twej izdebki, Wiero? — zapytał Włodzimierz — chciałbym ci oszczędzić widoku zwłok Iwana, które tu zaraz przyniosą...

Wiera powoli wstała z ławy, ale musiała silnie oprzeć się na ramieniu młodego detektywa, bo kolana uginały się pod nią.

Włodzimierz prowadził ją powoli i dziwnego doznawał uczucia, ilekroć dziewczę silniej przytuliło się do jego piersi. Powoli weszli na schody, a gdy już byli w jej małym pokoiku, Włodzimierz z lękiem dostrzegł, że Wiera, siadłszy na krzesełku, zwiesza bezsilnie głowę. Chwycił ją więc znów na ręce i delikatnie złożył na łóżku, a ona leżała cicho, z otwartemi oczyma, patrząc na niego.

Wiera kładła się już spać, kiedy stary Lubasz zawołał ją do szynkowni, aby z nią jeszcze pomówić.

Myśl, że jego dziecko, jego ukochana Wiera, pozostaje w porozumieniu z młodym detektywem, o czem Iwan mówił mu, jak o bezwzględnym pewniku, nie dawała mu spokoju. Do tej pory nie chciał badać jej w tym kierunku, nie chciał mówić wcale z nią o tem, ale trwoga o przyszłość zmusiła go do tego kroku.

Ciężko mu to jednak przychodziło. Blady i drżący — siedział za stołem tuż naprzeciwko swojej córki.

Nie mówili jeszcze i pół godziny, stary Lubasz wciąż jeszcze kołował i nie tknął właściwego tematu rozmowy, gdy pukanie Włodzimierza przerwało ich rozmowę. Co później się stało, wiemy dokładnie.

Włodzimierz stał chwilę przed łóżkiem i okiem pełnem miłości spoglądał na Wierę. Jej ręce, które trzymał w swych dłoniach, były zimne, jak lód, a twarzyczka miała wyraz takiej boleści i rozpaczy, że detektywowi łzy gwałtem cisnęły się do oczu.

— Czy przyrzekasz mi, Wiero, że będziesz spokojną aż do jutra rana i że będziesz starała się zasnąć? — szeptał Włodzimierz, okrywając ją troskliwie wojłokowym kocem.

Dziewczę milczało.

— Proszę cię, Wiero! — mówił dalej detektyw — bardzo cię proszę!...

Wiera skinęła lekko głową, ale nie rzekła ani słowa. Włodzimierz uczuł równocześnie, że jej ręka drży w jego dłoniach, że drobne palce zaciskają się koło jego ręki... poczuł uścisk, serdeczny uścisk ukochanej.

— Ach, jak ja się boję! jak się boję! — wyszeptały usta młodej dziewczyny.

— Nie bój się, Wiero! nie lękaj się, najdroższa! — uspokajał ją młody detektyw — nic ci się złego nie stanie, bo ja będę czuwał nad tobą, a jeśli los mi tylko pozwoli, to, o ile się tylko da, próbować będę złe zamienić na dobre! Spocznij teraz, zaśnij, choć na chwilę, najdroższa!...

Pochylił się nad dziewczyną i serdecznie ucałował jej ręce, poczem wyszedł i cichutko zamknął drzwi za sobą. Na korytarzu odetchnął głęboko. Serce mu biło jak młotem, bo ten uścisk ręki biednej Wiery dał mu poznać, że nie jest jej obojętnym, że i ona sercem mu płaci za serce. I dlatego też w duszy jego toczyła się straszna walka.

Z jednej strony do walki tej stanął obowiązek, ciężki, smutny obowiązek tajnego agenta, z drugiej gorąca miłość ku modrookiemu dziewczęciu. Myślał, czy zdoła pogodzić obowiązek z miłością i miłość z obowiązkiem.

Kurczowo zacisnął pięści i podniósł dumnie głowę do góry.

— Ach! — szepnął — nie boję się wcale. Potrafię jedno z drugiem pogodzić i zwycięsko wyjdę z tej matni!

Szedł powoli po schodach, które głucho trzeszczały pod jego ciężarem. Gdy wszedł do szynkowni, żandarmi wnieśli zwłoki zabitego Iwana na swoich karabinach, niby na noszach. Zbrodniarz zginął przeszyty dwoma kulami. Jedna z nich przeszyła mu serce, druga utkwiła w gardle. Śmierć więc musiała nastąpić natychmiast, bez powolnego konania, bez męczarni. Jeszcze miał oczy otwarte, jeszcze w źrenicach widać było straszny lęk przedśmiertny, a prawa dłoń trzymała kurczowo rozdartą na piersiach koszulę.

— Złóżcie trupa tam w kącie i przykryjcie go jakim kocem — odezwał się Włodzimierz, a następnie kazał żandarmom opowiedzieć sobie dokładnie, co zaszło w lesie, podczas tego śmiertelnego pościgu.

Potem zamknięto drzwi i poczęto naradzać się nad tem, co dalej trzeba robić.

Długi marsz, polowanie na Iwana i walka ze starym Lubaszem, wyczerpały siły żandarmów. Każdy z nich myślał o posiłku i okrzyk radości zabrzmiał w izbie, gdy jeden z nich odkrył za szynkwasem zapasy żywności i potężny dzban krymskiego wina. Ale podczas gdy żandarmi, wśród wesołych śmiechów i żartów, nasycali głód i pragnienie, młody detektyw siedział w milczeniu koło okna i dumał, sparłszy głowę o szybę. Żandarmi nie odzywali się, żaden nie zaprosił go do biesiady, bo wszyscy dobrze wiedzieli, co za straszna burza szaleje w jego sercu.

Włodzimierz Bohdan poznał przecież jeszcze w Petersburgu córkę skutego dzisiaj w kajdany mordercy i zapewne pokochał to miłe dziewczę z całej duszy. Musiał więc teraz toczyć z sobą ciężką walkę.

Tak myśleli żandarmi i czuli, że nic nie mogą mu powiedzieć, że nawet pocieszać go nie wypada, bo on sam powinien obrachować się ze swojem sumieniem i — spełnić bolesny obowiązek.

Ale co robić dalej? Postanowiono skoro świt posłać najmłodszego Szaszę do folwarku, aby sprowadził sanie, na których możnaby było bez trudu przewieźć starego Lubasza do miasteczka.

Stamtąd komendant posterunku odesłałby go wprost do Petersburga — a tymczasem Wiera znalazłaby u starego wieśniaka opiekę i przytułek.

Włodzimierz sam postanowił pomówić o tem z gospodarzem. I dopiero, gdy dziewczę będzie miało byt zapewniony, bodaj na parę dni, zanim

on zdoła porozumieć się z matką, wyruszy z raportem do Petersburga.

Zwłoki Iwana nie mogły też pozostać w gospodzie, ani też nie można ich było bez komisyi i protokołu pochować.

Stary wieśniak musi dać konie i sanie, któreby trupa pod ochroną żandarmów przewiozły do miasteczka.

Po ukończonej naradzie żandarmi pokładli się na ławach, aby bodaj na chwilę skosztować spoczynku — który im się całkiem słusznie należał. Światła nie gasili, chociaż nie potrzebowali obawiać się żadnego napadu, bo w gospodzie nie mieli już żadnych przeciwników, a bramę zatarasowali bardzo starannie. Jeden tylko Włodzimierz czuwał jeszcze, bo sen nie chciał skleić mu powiek.

Z szeroko otwartemi oczyma siedział na stołku i wsłuchiwał się w monotonne chrapanie żandarmów. Potem wstał, podszedł do okna, usunął firankę i przez chwilę wpatrywał się w zamieć śnieżną, która szalała na polu.

Cisza zaległa całą gospodę. Włodzimierz wiedział już, co ma robić.

Czuł, że życie jego związane już jest raz na zawsze z życiem Wiery, że tylko jedna śmierć potrafi ich rozłączyć.

Odetchnął głęboko, jakby jakiś wielki ciężar spadł mu z piersi.

Rozmówi się z matką, a poczciwa staruszka pewnie przygarnie do serca nieszczęśliwą dziewczynę, której miłość i krasa jest jedynym skarbem jej ukochanego syna.

A wtem przyszła mu na myśl Konstancya Jaroszynowa.

Młody detektyw miał nadzieję, że zdoła wykryć jeszcze mogiłę jej męża, Borysa i da jej możność pogrzebania go w poświęcanej ziemi.

Gdy już zaczęło szarzeć na wschodzie, Włodzimierz obudził Szaszę i posłał go po sanie do folwarku. Zawieja ustała i żandarm, otrzymawszy od detektywa dokładne wskazówki — nie mógł zabłądzić.

Szasza opuścił gospodę, a wówczas Włodzimierz zapalił latarnię. Postanowił zejść teraz do piwnicy i rozmówić się ze starym Lubaszem. Chciał wydrzeć mu tajemnicę, dowiedzieć się, gdzie ukryte zwłoki Borysa Jaroszyna, aby módz potem uwiadomić jego żonę.

Żandarmi spali snem sprawiedliwych i nie słyszeli nawet — jak drzwi od szynkowni skrzypnęły — nie widzieli, jak Włodzimierz opuścił izbę.

On tymczasem, stanąwszy na korytarzu, wytężył słuch... Cisza!...

— Pewnie biedna Wiera dopiero teraz zasnęła — pomyślał i ostrożnie zaczął zstępować po schodach, prowadzących do piwnicy,

Klucz zazgrzytał w zamku i młody detektyw stanął przed okutym w łańcuchy starcem. Lubasz leżał tak, jak go porzucono, zwrócony plecami do wilgotnego muru i błędnym wzrokiem spoglądał na Włodzimierza.

Detektyw postawił latarnię na ziemi, tak, że światło padało na zwiędłą, bladą twarz więźnia — i skrzyżował ręce na piersiach.

— Przyszedłem, aby wysłuchać twej spowiedzi, Wasylu Lubasz — rzekł z powagą. — Wiem dobrze, że z namowy Iwana uśmierciłeś przed kilku tygodniami kupca petersburskiego, Borysa Jaroszyna, w tej samej izbie, do której, dwa dni temu, kazałeś córce i mnie zaprowadzić. A potem... potem w ten sam sposób, jak mnie, dostaliście go tu, do tej piwnicy i jeżeli żył jeszcze, dobiliście go siekierami. W ten sposób zagarnąłeś ów spadek, o którym mówiłeś krewnym w Petersburgu... Choćbyś zaprzeczał temu, choćbyś się wypierał, nie pomoże ci to wcale. Tylko otwarte przyznanie się do zbrodni może sąd przyjąć za okoliczność łagodzącą i nie stosować strasznej kary śmierci na szubienicy, która ci teraz zagraża. Ja ci przysięgam, że niebo i ziemię poruszę, byleby cię od tej kary uchronić, jeśli wyznasz mi wszystko otwarcie... A więc powiedz, jak zamordowaliście Borysa Jaroszyna?

Włodzimierz czekał na odpowiedź, ale Lubasz milczał.

— Więc nie chcesz mi odpowiedzieć? — rzekł wkońcu detektyw — Wasylu Lubasz, pomnij na swoje dziecko!...

Twarz starca wykrzywił wyraz dzikiej rozpaczy.

Chciał już coś odpowiedzieć, ale wnet przygryzł wargi.

— Nie potrzebuję zresztą twego opowiadania! — szepnął Włodzimierz — ale zanim cię stąd zabiorę, chciałbym wiedzieć, gdzie pogrzebaliście zwłoki zamordowanego kupca.

Starzec spojrzał na detektywa takim wzrokiem, że dreszcz przeszedł Włodzimierza.

— Nie wiem! — zaskrzeczał rozpaczliwym głosem — nie wiem! nic a nic nie wiem! Pytajcie o to trupa Iwana. On dał plan tej całej zbrodni i on ją wykonał! on sam jeden tylko! Ja wcale nie mieszałem się do tego... i wy mnie musicie uwolnić!...

— A więc ty, Lubasz, w ten sposób zaczynasz się bronić! — rzekł spokojnie detektyw — tak! trup nie może już mówić, nie powie, ileś ty zawinił, ale próżne będą te twoje wykręty! Pytam cię raz jeszcze, gdzie podzieliście zwłoki Borysa Jaroszyna?!...

— Nie wiem! nie wiem! zabijcie mnie, a nie dam innej odpowiedzi. Pytajcie Iwana! to jego rzecz! to jego sprawa!...

Włodzimierz poznał, że dalsze badania byłyby tylko bezowocnym trudem. Stary Lubasz postanowił bronić się — zwalając całą winę na zabitego Iwana. Wzruszył więc tylko ramionami i wyszedł powoli z piwnicy.



...żandarmi wnieśli zwłoki zabitego Iwana do szynkowni...

Gdy stanął w szynkowni, żandarmi byli już na nogach. W pół godziny później nadjechały sanie żandarmskie, zaprzężone w rysaki i sanie folwarczne, które miały zabrać zwłoki Iwana. Najpierw trzeba było wyprawić Wierę do folwarku.

Włodzimierz wolnym krokiem podążył na piąterko i lekko zapukał do pokoiku dziewczęcia. Wiera otworzyła mu natychmiast. Dziewczę było już zupełnie ubrane i gotowe do drogi.

— Czy nie czujesz, Wiero, bólu w ranie? — zapytał troskliwie detektyw.

Dziewczę potrząsnęło przecząco główką.

— Nie! — rzekła — rana jest lekka, proste draśnięcie, które już zaczyna się goić. Pan przyszedłeś zapewne, żeby mnie stąd zabrać? Zgadzam się na to i proszę, rób ze mną, co ci się podoba, bo ja sama nie jestem w stanie myśleć o sobie...

Poprawiła czapeczkę na głowie, zapięła futerko i z ufnością spoglądała w oczy młodego człowieka.

— Podaj mi rękę, Wiero — rzekł Włodzimierz — przedewszystkiem chciałbym cię jeszcze o jedno zapytać...

Detektyw umilkł, ale dziewczę wiedziało, o co chodzi.

— Chciałeś mnie zapytać, czy nie myślę pożegnać się z moim ojcem? Nie, panie Włodzimierzu! Jabym nie mogła spojrzeć w oczy biednemu starcowi...

— Masz słuszność, Wiero, dziękuję ci! — rzekł on na to z prostotą.

Wiera wzięła malutki tobołek z swojemi rzeczami i oboje w milczeniu zeszli na dół. Przed gospodą rysaki rwały się już do biegu. Dziewczę wsiadło do sani, obok niej zajął miejsce Szasza, któremu Włodzimierz zdał opiekę nad ukochaną. Powożący żandarm gwizdnął przeciągle i trójka galopem ruszyła w stronę folwarku.

W godzinę później, gdy sanie powróciły do gospody, wyniesiono zwłoki Iwana i złożono je na folwarcznej podwodzie. Dwóch żandarmów trzymało straż nad niemi, a dwaj inni wynieśli z piwnicy skutego Lubasza i posadzili go między sobą na własnych saniach. Włodzimierz zamknął gospodę, opieczętował ją dokładnie, potem wskoczył do sanek, siadł naprzeciwko więźnia — i zakomenderował:

— Naprzód!

Rysaki puściły się kłusem.

Detektyw spojrzał jeszcze raz na gospodę — w której, o mało co, życia nie postradał. W tej chwili sanie skręciły w las i szynkownia zniknęła za drzewami, pokrytemi śniegiem.

Pod szubienicą.

Proces Wasyla Lubasza miał się już ku końcowi. Trwał całe trzy dni i trybunał musiał przesłuchać cały szereg świadków, bo oskarżony stanowczo wypierał się zbrodni i całą winę składał na barki zastrzelonego przez żandarmów Iwana.

Lubasz przedstawiał straszny obraz grozy i zniszczenia. Wychudł jak szczapa i widać było, że ciało jego trapi jakaś gorączka wewnętrzna.

Głowa jego podobną była do trupiej czaszki. Tylko pożółkła, prawie przeźroczysta skóra, pokrywała mu kości. Często opadał tak z sił, że woźny musiał podawać mu stołek, gdyż inaczej zbrodniarz nie byłby w stanie utrzymać się na nogach. Skurczony we dwoje, siedział na tym stołku, jak na rozżarzonych węglach i czasem tylko dzikim, napół obłąkanym wzrokiem, toczył po sędziach, lub po przysłuchującej się rozprawie publiczności.

Przez dwa dni walczył jak szalony o swoje życie.

Według jego zeznań, zbrodnię popełnił Iwan. On urządził tę pułapkę, on zamordował Borysa Jaroszyna.

I nie można było skłonić zatwardziałego starca, by odkrył, gdzie podziały się zwłoki zamordowanego kupca.

Wiera także musiała stanąć przed kratkami sądowemi w roli świadka. Prawo pozwalało jej wprawdzie wstrzymać się od zeznań, obciążających ojca, ale przewodniczący prosił, żeby powiedziała wszystko, co wie o zbrodni.

Dziewczę od kilku tygodni przebywało już w domku Włodzimierza Bohdana, pod czułą, macierzyńską opieką jego starej matki, która pielęgnowała ją, jak własne dziecko. A Wiera potrzebowała tej opieki, bo, przyjechawszy do stolicy, zachorowała bardzo ciężko.

I jeszcze teraz, gdy stanęła w sali sądowej — na twarzy jej widać było ślady choroby, a w ruchach niemoc i zmęczenie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Zjazd delegatów T. S. L. w Stanisławowie: Wilhelmina Nemetzowa, przewodn. Koła Pań T. S. L. w Stanisławowie.

Walny Zjazd T. S. L. w Stanisławowie.

Jak to już w poprzednim numerze zaznaczyliśmy, odbywał się w dniach 30 kwietnia i 1 maja r. b. Walny Zjazd delegatów Towarzystwa „Szkoły ludowej", największego i najżywotniejszego Towarzystwa oświatowego polskiego w dzielnicy austryackiej.

Założone w stuletnią rocznicę powstania Kościuszkowskiego pod hasłem: „Przez oświatę do wolności", wrosło T. S. L. w społeczeństwo nasze silnym korzeniem i stało się wyrazem jego dążności narodowych.

Kraj cały objęła gęsta sieć Kół T. S. L. W roku bieżącym liczy ich T. S. L. 168, a ogólna liczba członków dochodzi 20.000.

Czytelni i wypożyczalni liczy T. S. L. w całym kraju 889. Są to cyfry, bardzo wiele mówiące, trzeba je tylko umieć czytać. Zanim T. S. L. urosło w te cyfry, musiała idea, będąca jego dewizą, przyjąć się w społeczeństwie i na wskroś je przeniknąć. Ile to potrzeba było pracy, nawoływań, krzątaniny i mozolnych zabiegów poszczególnych jednostek, oraz ofiarności szlachetnej całych grup ludzi, duchem obywatelskim owianych, ażeby dojść do tych rezultatów?

Praca kulturalna T. S. L. jest, jak wiadomo, niezmiernie różnorodna i rozmaita. Pracuje się równocześnie na wszystkich polach oświaty narodowej, od zakładania szkół ludowych począwszy, do ochronek dziecięcych, do odczytów, wycieczek i urządzania obchodów narodowych. Oto znowu garść cyfr, samych za siebie mówiących:

Szkół założyło T. S. L. 21, w najbliższej zaś przyszłości ma ich znowu 6 powstać nowych. W szkołach ludowych T. S. L. pobiera 2859 polskich dzieci naukę. Jest to cyfra w każdym razie bardzo poważna i dla żywiołu narodowego uratowana. Oprócz tych, rozpoczęło T. S. L. zakładać także „szkółki początkowe" w gminach najbardziej pod względem naukowym zagrożonych. Wyniki pracy w tych szkółkach są dotychczas bardzo dodatnie i instytucya ta rokuje piękne nadzieje. Jakkolwiek z punktu widzenia naukowo-wychowawczego nie mogą one równać się z szkołami ludowemi, to przecież tępią one doskonale analfabetyzm i są ostoją narodowościową dla polskiej ludności wiejskiej, zagrożonej wynarodowieniem, kosztują zaś stosunkowo bardzo niewiele.

Szkółek takich początkowych liczy T. S. L. 46. Obok tych istnieje w rozmaitych punktach kraju 51 kursów dla dorosłych analfabetów, które prowadzą systematyczną walkę z bezabecadłowymi w mieście i na wsi.

W roku ostatnim urządzono w całym kraju 156 obchodów narodowych, które podniosły poziom uczuć patryotycznych ludności polskiej. W czytelniach T. S. L., lub z inicyatywy poszczególnych



Zjazd delegatów T. S. L. w Stanisławowie: Mateusz Pilecki, przewodn. męskiego koła T. S. L. w Stanisławowie.

Kół T. S. L. odbyło się ogółem 2378 odczytów, wykładów popularnych i pogadanek.

Są to tylko cyfry. Kto je czytać jednak umie, łatwo zrozumie, że mieści się w nich cały ogrom pracy obywatelskiej setek ludzi ofiarnych i pełnych poświęcenia, którym uznanie i cześć się należy.

T. S. L. dokonało w ostatnim roku ważnej zmiany administracyjnej. Zdecentralizowało się ono, podzieliwszy się na jedenaście okręgów, które powinny zadanie głównego zarządu znacznie ułatwić. T. S. L. znajduje się w pełni swojego rozkwitu. Wysunęło się ono na czoło wszystkich istniejących na ziemiach polskich instytucyj oświatowych, a przecież jednak nie objęło jeszcze wszystkich czynników narodowych naszego społeczeństwa. Cały ogromny odłam jego, u góry, pozostaje jeszcze dla zadań T. S. L. obojętnym. Jakkolwiek dotychczasowa praca T. S. L. stanowi jednę z najpiękniejszych kart usiłowań i pracy zrzeszo-



Zjazd delegatów T. S. L. w Stanisławowie: Grupa uczestników Zjazdu.

nych dobrowolnie ku pięknemu dziełu współpracowników, to jednak daleko nam jeszcze do chwili, w której śmiało powiemy, żeśmy spełnili obowiązek swój w całej pełni, a naprawili błędy, płynące z dawnej nieczynności naszych przodków w dziedzinie oświaty ludu i podniesienia jego ducha narodowego.

T. S. L. powinno mieć nie dziesiątki tysięcy, ale setki tysięcy członków. Z chwilą, kiedy każdy inteligentny obywatel naszego kraju stanie się członkiem tego narodowego Towarzystwa, będzie można ojczyźnie i społeczeństwu naszemu lepszą dopiero wróżyć przyszłość.

W Stanisławowie odbywał się Zjazd delegatów tego samego Towarzystwa w r. 1898. Wówczas brało w nim udział 35 delegatów, w tegorocznym Zjeździe brało ich udział razem 209. To chyba najwymowniejsze świadectwo spotężnienia tego Towarzystwa, jak niemniej dowód, iż hasło: „Przez oświatę do wolności“, przestaje być u nas pustym frazesem. Oczywiście, daleko jeszcze do tych stosunków oświatowych, jakie panują w krajach ościennych, np. w Czechach, gdzie „Matica skolska“ liczy członków na krocie tysięcy, bądź co bądź jednak krok wielki zrobiliśmy już naprzód i przy wytrwałości będziemy mogli także, za lat jakich dziesiątek, to samo o naszem T. S. L. powiedzieć.

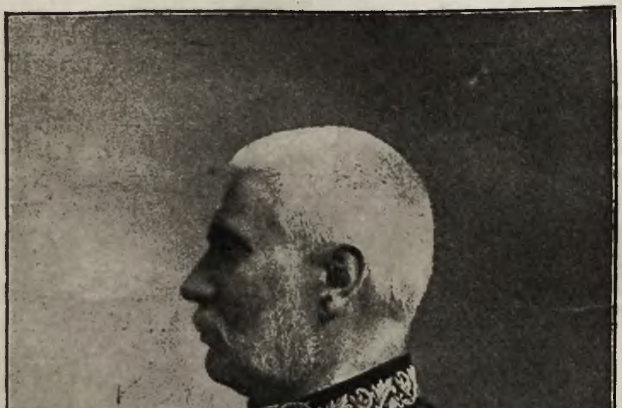
Delegaci T. S. L. pracowali przez oba dni Zjazdu z poświęceniem i natężeniem. Dosyć powiedzieć, że niektóre komisye pracowały nawet w nocy. Zrobiono istotnie wiele. Zreformowano statut i regulamin Towarzystwa, stosownie do wymogów obecnych, uczyniono cały szereg wniosków, dążących do poprawy stosunków finansowych T. S. L. wykazującego od lat kilku niedobór, który w ostatnim roku urósł aż do cyfry 36.000 koron, obmyślano wiele pożytecznych zmian dla zawiadostwa czytelń i wypożyczalń, dano wreszcie dyrektywę delegatom, w jakim kierunku dalej T. S. L. prowadzić na wyżyny jego zadań należy.

Dadzą się one streścić w kilku wierszach: Solidarna praca na wszystkich polach oświaty narodowej, bez różnicy politycznych przekonań, to co do zasady. Pod względem techniki wykonania tego programu, zaleca Zjazd: Oszczędność w wydatkach, namysł w przedsiębraniu budowy szkół własnych, szczególniejsze zaś zwrócenie uwagi na szkółki początkowe i kursa dla analfabetów; dalej zaś: popieranie czytelnictwa w czytelniach i wypożyczalniach, przez dostarczanie ludowi dobrej i zdrowej strawy duchowej, oraz wykształcanie prelegentów z szeregów samego ludu, wogóle zaś baczną czujność i stałą gorliwość we wszystkich sprawach oświaty narodowej.

Wiec obradował przez dwa dni z przykładną istotnie zgodą i harmonią. Pewną różnicę zdań wywołała pod koniec Zjazdu kwestya urządzania wycieczek włościańskich do Krakowa przez Kalwaryę zebrzydowską i stawianie tego miejsca odpustowego na pierwszym niejako planie wycieczki co odciąga lud od prawdziwego celu wycieczki i zapędza T. S. L. w objęcia klerykalizmu. Czyniono zarzut aranżerom tych wycieczek, iż lud odezwami tendencyjnie redagowanemi ogłupiają, zamiast go narodowo uświadamiać, co jest przecież właściwym celem T. S. L.

Był to jedyny moment „wojenny“ w obradach Zjazdu. Zdania się starły. Jednak, jak chmury, z których się krzeszą błyskawice, poczem tem wspanialsza królować zaczyna pogoda, tak i stronnictwa, w T. S. L. pracujące, po Zjeździe niewątpliwie z tem jaśniejszą pogodą umysłów i zapałem serc dla ukochanej sprawy, do pracy obywatelskiej się rzucą i siać będą zdrowe ziarno prawdziwej oświaty, ponad którą nie masz obecnie ani sprawy pilniejszej, ani też ważniejszej.

Illustracye nasze przedstawiają grupę delegatów T. S. L. zgromadzonych na ostatnim Walnym Zjeździe w Stanisławowie, oraz wizerunki przewodniczących Kół miejscowych T. S. L. pp. Wilhelminę Nemetzową i Mateusza Pileckiego, obojga około rozwoju T. S. L. w Stanisławowie, dobrze zasłużonych.



Dymisya ministra kolei Witteka: Były minister kolei Wittek. (Treść na str. 2).



W setną rocznicę śmierci Fryderyka Schillera: Portret Schillera według współczesnego sztychu.

W setną rocznicę śmierci
Fryderyka Schillera.

Świat literacki w Niemczech, a za nim i całe Niemcy, święcą w tym tygodniu uroczyście setną rocznicę śmierci jednego z największych poetów niemieckich, Fryderyka Schillera. We wszystkich miastach i miasteczkach odbywają się na cześć nieśmiertelnego autora „Zbójców“ uroczystości, zebrania literackie, odczyty o Schillerze i jego twórczości, tak znamiennej dla Niemiec XIX wieku; prasa literacka i codzienna, polityczna, poświęca Schillerowi całe szpalty.

Cóż jest przyczyną, że Niemcy w ten sposób czczą setną rocznicę jego zgonu?

Odpowiedź nie trudna.

Nie było na świecie poety, którego imię byłoby w dziejach ducha ludzkiego tak ściśle związane z wielkimi ideałami, jak imię Fryderyka Schillera. Nie było poety, któryby tak sprawiedliwie zasłużył sobie na miano „poety wolności“. Od pierwszego słowa swej pieśni, aż do ostatniego, pieśń ta przesiąkniętą była na wskróś ideą godności ludzkiej, myślą. że w naturze ludzkiej, żywie wiekuiście pierwiastek, który sprawia że, mimo wszystkich niezliczonych zbrodni, jakich się człowiek pojedynczy i zbiorowy dopuszczał, mimo całej nędzy i lichoty, która się zarówno u wielkich, jak i u małych, z przerażającą wypowiada siłą, człowiek pozostaje zawsze człowiekiem, to jest zbicrowiskiem szlachetności i piękna. Ta wielka myśl wije się jak złota nić przez całą twórczość Schillera, od pierwszych słów „Zbójców“ do ostatnich słów „Tella“. Ona jest siłą tajemną jego dzieł, krwią, krążącą w ich żyłach, ona jest tem życiodajnem tchnieniem, które im daje moc i piękność nieśmiertelną. Przenika ona głębokim nurtem jego pieśni i ona ze słoneczną jasnością wypowiada się w jego pismach filozoficznych i historycznych. Wiara w godność i wartość człowieka, wiara w wielką myśl moralną życia i dziejów—to treść i miazga twórczości Schillera. Nikt głębiej ani mocniej od Schillera nie wypowiada, nie rozumie i nie odczuwa tej godności człowieka. Człowiek Schillera to żywy, prawdziwy człowiek, a więc człowiek nietylko niekiedy, ale zawsze skłonny do małości, nawet do zła, człowiek słaby. Ale człowiek jest skłonnym do zła nietylko dlatego, że jest słabym, owszem, właśnie dlatego, że jest człowiekiem, a zło tkwi w naturze ludzkiej. Jednak również dlatego, że każdy jest człowiekiem, nikt nie może zatracić doszczętnie piętna szlachetności i wielkości, jaką mu Bóg wlał w duszę, nikt nie może się wyzbyć śladów tego jakby pomazania Bożego.

Czas, w którym Schiller żył i tworzył, był w dziejach ludzkości epoką przełomową. Załamywały się podwaliny dotychczasowego ustroju społecznego i politycznego, zarysowywały się podstawy nowego. Również na polu umysłowem zakwitły nowe prądy, nowy, ożywczy wiew romantyzmu rozsadzał spróchniałe koryto klasycyzmu. Czas to był dla wydania wielkiego poety ludzkości, wielkiego piewcy jej godności. I przyszedł taki poeta. A był nim Schiller.

Obecnie wszystkie stowarzyszenia, kółka literackie i artystyczne w całych Niemczech, to jest w Niemczech i w Austryi, tam wogóle, gdzie brzmi mowa niemiecka, setną rocznicę urodzin Schillera obchodzą nadzwyczaj uroczyście. I nie tylko w Niemczech. Cały świat cywilizowany przyłącza się dziś do hołdu — składanego geniuszowi piewcy Tella. Bo Schiller — to poeta, obejmujący pieśnią swoją nie tylko Niemców, z których wyszedł, ale ludzkość całą, poeta, który duchem wybiegł daleko naprzód, jasną wskazując jutrzenkę, a można o nim powiedzieć, że czuł i cierpiał za wszystkich ludzi, że w piersi swojej czuł bóle wszystkich i dlatego wszyscy czcić i wielbić go muszą.

Daleko odeszły Niemcy od ideałów, rzucanych w słonecznej pieśni Schillera. Czujemy to, zwłaszcza my, Polacy, których Niemcy najbardziej uciskają, chcąc zabić w nas duszę polską. A jednak i my kornie uchylić musimy czoła przed Schillerem, choć to Niemiec. Bo Schiller to duch wielki, to geniusz, pokrewny siłą Homerowi i Mickiewiczowi — a Niemcy dzisiejsi—to wyrodne dzieci—wychowankowie Bismarka i godni propagatorzy jego idei niszczenia i rabowania. Schiller takich Niemców by się wyrzekł.

W setną rocznicę śmierci Schillera podajemy tę wiązankę wspomnień. Obok zamieszczamy portret Schillera według współczesnego sztychu.

Ze świata

Święto krakowskie i święto podgórskie. – Dwaj patronowie. Kto paraliżuje ich dobre chęci. – Ankieta angielska w sprawie małżeńskiej. – Czy małżeństwo jest monotonne. — Proces o bigamię.

W poniedziałek świętowało całe „wielkie“ księstwo krakowskie, natomiast Galicya pracowała w pocie czoła, o ile nie obchodziła tak zwanego „Blaumontag“. Z tej strony mostu podgórskiego obchodziliśmy święto patrona Księstwa Krakowskiego, z tamtej strony był zwykły, powszedni dzień. Zato w dniu św. Michała będzie Podgórze ze starostą i burmistrzem na czele dążyło na uroczystą mszę. ażeby uczcić swojego patrona, gdy my, Krakowianie poświęcimy się zwykłym zajęciom. I to jest równie typowym, choć mniej bolesnym podziałem, jak podział pomiędzy 3 zabory. Krakowem opiekuje się św. Stanisław, Podgórzem zaś św. Michał. Obydwaj święci mają najlepsze chęci i radziby nam nieba przychylić, ale rozmaici opiekunowie ziemscy. począwszy od ministrów, a skończywszy na egzekutorach podatkowych, zatruwają nam życie. Przy tej sposobności należy podnieść z uznaniem, że mieszkańcy Podgórza, jeżeli tylko mają czas i monetę, chętnie spieszą w dniu św. Stanisława do nas, ażeby wziąć udział w uczczeniu św. Stanisława. Kochają nas wtedy i łączą się z nami, ale tylko na jeden dzień, o stałem bowiem połączeniu nawet nie chcą słyszeć. Mniejsza o to — co się odwlecze, to nie uciecze.

Ale czemprędzej porzucam tę sprawę, ażeby nie narazić się na jowiszowy gniew Podgórzan, którzy kochają Kraków, ale z daleka. Przechodzę do sprawy, starej jak świat, a jednak zawsze nowej, a mianowicie do małżeństwa. Francuzi z dawien dawna zajmują się kwestyą małżeńską i wszelkiemi jej przynależnościami, tym razem atoli sprawę tę podnieśli Anglicy. Wogóle publiczność angielska wobec problematu małżeńskiego zachowuje się obojętnie i najbardziej tragiczny lub komiczny „trójkąt“ małżeński na scenie ma wielkie powodzenie. W Londynie próbowano wprowadzić na scenę Ibsena, który uchodzi obecnie za największego psychologa małżeństwa, ale usiłowania te nie odniosły pożądanego skutku. Publiczność przyjęła sztuki Ibsena bardzo obojętnie.

Pomimo tej obojętności prasa angielska od czasu do czasu porusza kwestyę małżeńską, używając do tego ulubionej obecnie „ankiety“. Przed kilku laty pewien tygodnik urządził plebiscyt, to jest powszechne głosowanie na bardzo zajmujące pytanie: „Czy małżeństwo zbankrutowało?“ Ze wszystkich stron olbrzymiego imperium angielskiego nadesłano odpowiedzi, które wydały niespodziewany rezultat. Oto przeważna część odpowiedzi potwierdziła, że małżeństwo zbankrutowało. Gdyby tak powiedzieli Francuzi, nie zdziwiłoby nas to wcale, ale że Anglicy zdobyli się na coś podobnego, musi to bądź co bądź wywołać pewne refleksye.

I wywołało. Przed kilku tygodniami jeden z londyńskich dzienników postawił czytelnikom swoim pytanie: „Dlaczego pożycie małżeńskie jest monotonne?“ W pytaniu tem już mieści się twierdzenie, że małżeństwo jest monotonne, a chodzi tylko o to, co jest powodem tej monotonności. Do redakcyi napłynęły całe stosy odpowiedzi i znowu rezultat ich był niespodziewany. Redakcya sądziła, że czytelnicy i czytelniczki pospieszą z odpowiedziami, które wyjaśnią, dlaczego pożycie małżeńskie jest monotonne, tymczasem wszyscy, jak to mówi się popularnie „wsiedli“ na redakcyę.

Zarzucono jej, że pytanie powinna była postawić odwrotnie. Małżeństwo, odpowiadali czytelnicy, nie jest wcale monotonne, owszem utrzymuje i męża i żonę, a zwłaszcza męża w ciągłej irytacyi, w ciągłem rozdrażnieniu. Pewien urzędnik bankowy pisze: „Nie mogę pojąć, jak może ktoś mówić o monotonności w pożyciu małżeńskiem. Ożeniłem się szczęśliwie i mam dwoje dzieci. Chłopaczek mój „ząbkuje“. A wiecie, co to znaczy? To znaczy nie zamykać oczu całymi tygodniami. Żona moja jest młodą i piękną, trochę kokietką. Skutkiem tego jestem zazdrosny. To znaczy mam tysiąc powodów, ażeby codziennie się trapić. Byłbym szczęśliwy, gdyby pożycie małżeńskie było nieco monotonne.“

Inny małżonek dał następującą odpowiedź: „Jestem żonaty już od 20 lat, mimo to jednakże mam chęć do życia i siły wyborne. Niestety, moja dobra



Paulina Rybicka.

żona nie chce pojąć tego. Z tego powodu powstają pomiędzy nami ciągłe nieporozumienia, prowadzące do gwałtownych scen. Zbawienia wiecznego życzę temu mędrcowi, któryby wymyślił jaki środek na to, ażeby małżeństwo było nieco monotonne.“ Pewien farmer z Texas w północnej Ameryce pisze krótko i węzłowato: „Panie redaktorze! Jesteś pan widocznie dowcipnisiem. Mówisz pan o monotoności małżeńskiego pożycia? Śmiej się pan! Chciałbym tylko, ażeby moja „stara“ była pańską żoną. Wyleczyłaby pana ze złudzenia, jakoby małżeństwo było monotonne.“

Jakiś filozof, pesymistycznie usposobiony tak rozumuje w swojej odpowiedzi: „Mąż, który kocha żonę, nie ma powodu żalić się na monotonię. Jeżeli jej nie kocha, to jeszcze mniej ma powodów do tego. Ze wszystkich stron, z każdego kąta, każdej chwili zdarza się jakaś przyczyna rozdrażnienia. Skądże tu można mówić o monotonii?“

Wobec tych odpowiedzi redakcya uderzyła się w pier i i powiedziała: „mea culpa.“ A powiedziawszy to, postawiła czytelnikom znowu pytanie: „Dlaczego pożycie małżeńskie nie jest jednostajne?“ Czekajmy na odpowiedź.

Skoro już mówimy o małżeństwie, to zanotować należy dla informacyi czytelników wyrok sądowy w sprawie tak zwanego małżeństwa węgierskiego. Przed pięciu laty pewna młoda para zawarła związek małżeński w Preszowie na Węgrzech. On był urzędnikiem prywatnym i nazywał się Oskar Sch., ona zaś była rozwódką, gdyż przedtem wyszła za mąż w Austryi, a ślub otrzymała w kościele katolickim. Z mężem niedługo żyła. Gdy oboje widzieli, że pożycie ich wspólne stało się niemożliwem, wyjechali do Węgier, przyjęli tamtejsze poddaństwo i otrzymali prawny rozwód sądowy. Wkrótce potem poznał ją Oskar Sch., i poślubił, jak wspomnieliśmy, w Preszowie, według rytuału protestanckiego. Oskar Sch., żyje z żoną swą od pięciu lat i ma jedną dziewczynkę. Sprowadził się do Wiednia i tam przebywał dłuższy czas, nie myśląc nawet, jaką niespodziankę zrobi mu „ex officio“ sąd wiedeński. Oto skutkiem doniesienia sądu obwodowego w Leoben, wiedeński sąd krajowy wdrożył śledztwo przeciwko Oskarowi Sch., poczem powołał go przed kratki sądowe. Trybunał orzekł, że małżeństwo jego w krajach austryackich jest nieważne, gdyż pani Sch., zawarłszy jako katoliczka już poprzednio związek małżeński w kościele katolickim, nie może w żaden sposób zawrzeć ważnego małżeństwa wedle jakiegokolwiek rytuału, dopóki mąż jej żyje. Skutkiem tego rozwód, który otrzymała na Węgrzech jest nieważny w Austryi, podobnie jak nieważnem jest jej małżeństwo, zawarte na Węgrzech na podstawie owego rozwodu. Równocześnie sąd krajowy orzekł, że Oskar Sch., i żona jego są winni wykroczenia przeciwko ustawie z tego powodu, ponieważ wiedzieli, że zawierają nieprawne małżeństwo.

Oczywiście zdziwienie Oskara Sch., i jego żony, którzy w najlepszej zgodzie żyją z sobą od lat pięciu, było ogromne, zwłaszcza, że pierwszy mąż oświadczył wyraźnie wobec sądu, jako nie ma żadnych pretensyi do swojej rozwiedzionej żony. Oskar Sch., rekursował do wyższego sądu krajowego w Wiedniu i znowu doczekał się niemiłej niespodzianki. Mianowicie sąd apelacyjny orzekł, że małżeństwo jego jest nieważne, a tylko uwolnił go od winy, jakoby zawierał małżeństwo z wiedzą o jego nieważności, czyli jakoby popełniła bigamię pani Sch.

Sprawę tę przytoczyliśmy dlatego, że w Krakowie przed laty pewien urzędnik miał podobny proces z podobnym wynikiem. *K. e.*

Paulina Rybicka.

Pani Paulina przywędrowała do nas z Poznania przed laty kilkunastu i od tego czasu wiernie służy scenie lwowskiej, na której jej zresztą wcale nieźle...

Jak widać z fotografii jest to sobie wcale przyjemna osóbka, a choć już lata liczy na lata, a nie na wiosny, to jednak na upartego zagrałaby taką subretkę, że aż ha!..

Role subretek były też przez długi czas tj. od początku jej karyery scenicznej, aż do niedawna, głównymi punktami jej bogatego repertuaru. Ale bo też je grała... jak grała... Choć naśladownictwo nie jest zastrzeżone żadną marką ochronną, to jednak pani Rybicka odkąd puściła „kantem“ wszystkie subretki, czeka na godną jej następczynię już lat kilka – nadaremno...

Swoją drogą, że cały ten gatunek ról w ostatnich dramatach już dawno wziął w łeb w raz z innymi, ale tu i ówdzie zdarzają się jeszcze takie role, zwłaszcza przy wznowieniach, a wtedy każdy na pamięć sobie przywodzi panią Rybicką... W Molierze i dawniejszych autorach polskich wyborna... Powinna i dziś grywać te role, a powodzenia można być pewnym.

Dziś obok Gostyńskiej i Wojnowskiej wzięła „w pacht“ część charakterystyczno-komicznych babsztylów, których nie brak i w nowszym dramacie. Oczywiście, że i tu pani Rybicka jest zawsze w kropce.

Wydobywa z roli, co się da wydobyć, a wzbogaca ją często w charakterystykę i strój, o jakim nie śnił autor... Stąd bardzo sympatycznie na scenie widziana i bardzo, jak to u nas mówią — pożyteczna artystka.

Pani Rybicka ma bezsprzecznie ową *vis comica*, potrzebną do tego rodzaju ról i wyróżnia się nieposplitą żywością. Bywa czasem olśniewającym fajerwerkiem i całkiem niespodziewanie tworzy typ z niczego, typ wcale dobry i prawdziwy. Przesadza rzadko, przeważnie zachowuje miarę odpowiednią... W doborze kostyumów, tych z „Dna“ wprost pyszna... Jej kostyum i maska z dramatu „Ponad siły“ prosi się, by go uwiecznić na pigmentowej fotografii, a stąd na widokówkach po 10 hal. od sztuki. Taki „widokowy“ przedsiębiorca zrobiłby dobry interes i mógłby kupić stały stały abonament w teatrze, aby podziwiać panią Rybicką.

Tak zwana „pożyteczność“ pani Pauliny polega na tem, że potrafi zagrać każdą rolę... Nota bene nie Otella... ale każdą rolę kobiecą w wieku od 25 do 85 roku życia... To chyba ładny wybór...

Ponadto panna Jankowska powiada, że pani Paulina jest bałdzo dobłą koleżanką... Wierzę...

Klewe.

Kącik humorystyczny.

— Co ty masz taką spuchniętą twarz?

— Eee... głupstwo! posprzeczałem się trochę z tym Felkiem, wiesz, co to tak gestykuluje!

Na ulicy.

Jakiś jegomość w roztargnieniu udeptał przechodzącą damę w nogę.

— Niezgrabiarz – rzuca mu dama.

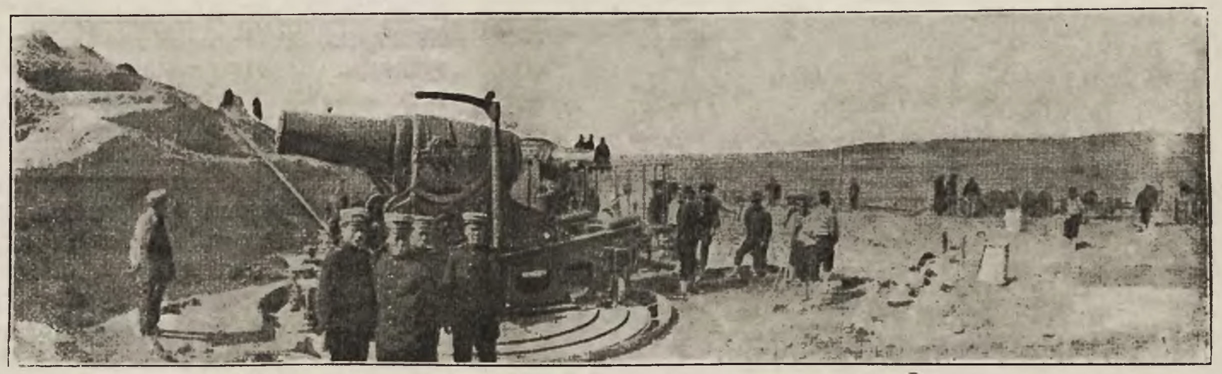
— Pani wybaczy, ale nóżka jej jest tak mikroskopijnie małą, że niepodobna jej zauważyć!

Dama odpowiada najmilszym uśmiechem...

Do restauracyi przychodzi pan Iks na kolacyę, jako stały gość. Pewnego razu pan Iks studyuje długo spis potraw w końcu odzywa się do kelnera:

— Jabym zjadł tego zająca, ale pokaż mi naprzód wasze trzy koty!...

Z wojny rosyjsko-japońskiej.



Z wojny ros.-jap.: 28-centymetrowe działo oblężnicze japońskie, ustawione w centrum japońskiem nad rzeką Szak.

Przyczyny wybuchu wojny są i będą przez długi czas przedmiotem badań i dociekań polityków i historyków. a każdy nowy dokument, mogący rzucić trochę światła na ten konflikt rosyjsko-japoński jest pożądany i z ciekawością czytany. Przed niedawnym czasem, kilka numerów wstecz, podaliśmy treść główną memorału, wypracowanego przez Kuropatkina, jako ministra wojny, na specyalne żądanie cara, a informującego o położeniu politycznem i planach Rosyi na Dalekim Wschodzie przed wybuchem wojny. Czytelnicy zapewne pamiętają treść tego memoryału i będą mogli w połączeniu z temi wiadomościami, jakie podajemy dziś na podstawie broszury znanego dyplomaty japońskiego barona Suyematsu, wyrobić sobie sąd o tem, kto wojnę sprowokował i kto jest winnym tego strasznego przelewu krwi.

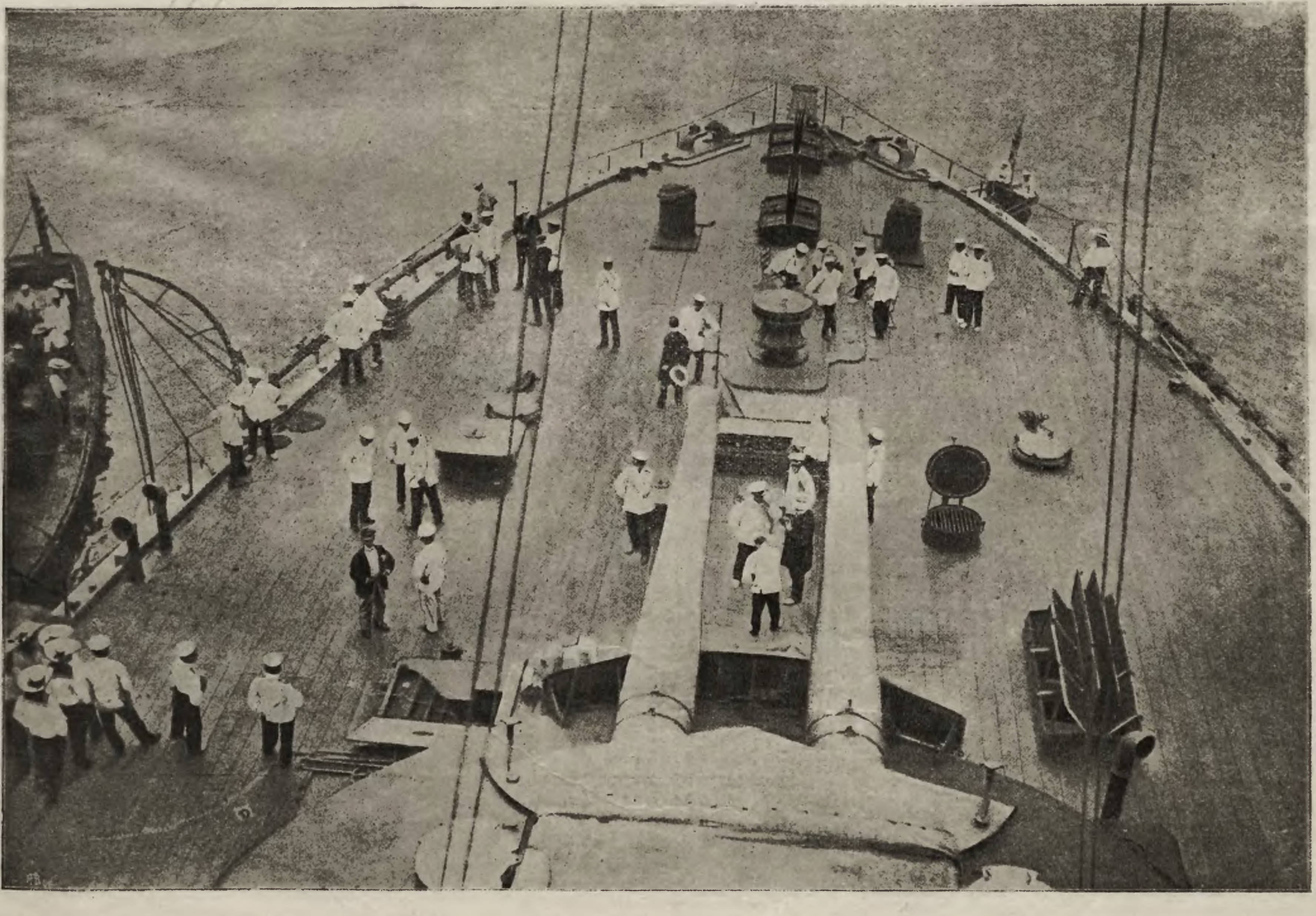
Baron Suyematsu wydał broszurę pod tytułem: „Jak Rosya stała się winną wojny“. W broszurze tej dyplomata japoński kreśli szczegółowo, jak Rosya wyzyskała interwencyę zbrojną w roku 1900 w Chinach dla własnych celów. Mimo, że Japonia okazała wobec mocarstw europejskich skłonność i gotowość obronienia poselstw europejskich w Pekinie przed napadem bokserów, Rosya nie zgodziła się na to, gdyż chciała posłać swe wojska do Chin, a w zamian za to otrzymać, a raczej zagrabić, Chinom Mandżuryę. A gdy w grudniu 1900 roku został zawarty między generałem rosyjskim Kastorowiczem, a jednym z generałów rozbitej armii chińskiej układ, na mocy którego Mandżurya została rzeczywiście wydaną na łup Rosyi, w Pekinie nie chciano przyjąć i uznać tego układu i apelowano do innych państw europejskich i Stanów Zjednoczonych o poparcie — ale bezskutecznie Chiny zaś były bezsilne i bały się ściągnąć na siebie gniew Rosyi. W końcu inne mocarstwa podniosły protest przeciw układowi mandżurskiemu i Rosya na skutek tego protestu miała opuścić Mandżuryę do 1 października 1903 roku. Zamiast jednak spełnić to zobowiązanie, Rosya wzmacniała swe siły wojskowe w Mandżuryi.

A przedewszystkiem na opuszczenie Mandżuryi przez Rosyę nalegała Japonia, która wskutek zajęcia przez Rosyę tej części Chin, traciła wszystkie korzyści, jakie dała jej poprzednia wojna z Chinami. I w Japonii już wtedy, to jest z chwilą zajęcia Mandżuryi przez Rosyę, poczęto czynić gorączkowe przygotowania do bronienia swych interesów na Oceanie Spokojnym. Wtedy właśnie był z wizytą w Japonii minister wojny Kuropatkin; jednakże nie zdołał on widocznie zebrać żadnych danych o siłach zbrojnych Japonii, skoro w memoryale, wystosowanym do cara, tak lekceważył sobie armię japońską i jej siłę morską. A spostrzeżenia, jakie Kuropatkin porobił w Japonii, musiały napewno utwierdzić dyplomatów rosyjskich w mniemaniu, że Japonia nie porwie się za broń.

Wkrótce rozpoczęły się pertraktacye Japonii z Rosyą w Porcie-Artura, ale Rosya wcale a wcale nie zdradzała chęci zadośćuczynienia żądaniu Japonii i wycofać się z Mandżuryi, a nawet jakby lekceważąc sobie żądania japońskie, w dwa dni po skończeniu pertraktacyj w Porcie-Artura, został Aleksiejew mianowany namiestnikiem Dalekiego Wschodu. „Tą prowokacyą, pisze baron Suyematsu, Rosya przed całym światem potwierdziła, iż zamierza objąć Mandżuryę w trwałe posiadanie!“ Dalsze postępowanie Rosyi nie zdradzało wcale chęci opuszczenia Mandżuryi. Pod koniec 1903 roku Rosya zajęła pałac w Mukdenie i uwięziła chińskiego generała, który był tam komendantem oraz wybudowała swój fort w koreańskim porcie Yonghampo To rozszerzenie swych wpływów z Mandżuryi na Koreę do reszty wzburzyło opinię publiczną w Japonii, ale mimo to nie przerwano rokowań, chcąc dojść z Rosyą do zgody. Ale gdy Japonia zoryentowała się, że Rosya przewleka rokowania, chcąc zyskać na czasie i tymczasem wzmocnić swe siły zbrojne na Wschodzie, wyczerpała się cierpliwość Japończyków i carat doigrał się klęsk i upokorzeń, które przypadły mu w udziale w dotychczasowej kampanii.

Tak więc broszura barona Suyematsu rzuca wiele światła na przyczyny wybuchu wojny i w należytem świetle przedstawia politykę rządu rosyjskiego na Dalekim Wschodzie.

Obecnie po skoncentrowaniu się rozbitej pod Mukdenem armii, cała akcya wojsk lądowych opiera się o Kiryn. Linia rosyjska osłania Kiryn, który jest z tego względu nader ważnym, że stamtąd rozpoczyna się gościniec, wiodący do linii, prowadzącej do Władywostoku. To też z zajęciem Kirynu droga do Władywostoku stałaby dla Japończyków otworem. Władywostok został zajęty przez Rosyan w roku 1860, a dzięki swemu położeniu stał się najważniejszym punktem oparcia nad Oceanem Spokojnym. Że był od samego początku upatrzony na warownię, panującą nad Wschodem, dowodzi sama nazwa, nadana pospiesznie budowanemu miastu w roku 1880. Zatoka, rozlewająca się przed portem, jest jedną z najwspanialszych w całym świecie, to też pierwsze warownie wznieśli Rosyanie na wzgórzach, okalających zatokę, już w roku 1877. Militarny rozwój tego portu wojennego rozpoczął się w roku 1887, gdy generał-gubernatorem wschodniej Syberyi został mianowanym generał Ignatiew. Od tego czasu zaczęto budowanie fortów portowych. Wkrótce wzniesiono nowe, obszerne koszary dla wojska i zbudowano olbrzymie doki granitowe dla naprawy największych nawet okrętów wojennych. Garnizon został odpowiednio powiększony i wzmocniony. A praca około ufortyfikowania



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Na pokładzie admiralskiego pancernika japońskiego „Mikasa“ w przeddzień bitwy morskiej z eskadrą Rożdiestwieńskiego.



Z wojny ros.-jap.: Ćwiczenia torpedami: Rosyjscy oficerowie ustawiają maszynę do wyrzucania torped na wybrzeżu pod Władywostokiem.

Władywostoku nie ustawała, aż do roku 1901 w którym to roku Rosya, wydzierżawiwszy półwysep Kwantuński z Portem Artura, tam poczęła zwracać swą główną uwagę, uważając Port-Artura jako dogodniejszy punkt oparcia i obrony swych interesów na Wschodzie. Port-Artura był dogodniejszy o tyle, że tam morze nigdy nie zamarza, podczas gdy Władywostok przez 4—5 miesięcy jest zamknięty od strony morza wskutek nadzwyczaj grubej powłoki lodowej. Wprawdzie okręty specyalne, przeznaczone do łamania lodu, utrzymują drogę dla okrętów handlowych, ale okręty wojenne z tej drogi korzystać nie mogą i są w porcie zamknięte. Forty Władywostoku są, zdaniem fachowców, dość silne, ale nie mogą się równać z fortami i obwarowaniami Portu-Artura. Od strony lądowej broni Władywostoku kilka fortów, znajdujących się za miastem na wzgórzach, a nadto dwanaście wałów ziemnych, uzbrojonych w bateryę najnowszej konstrukcyi. Bardzo silnie obwarowane jest wybrzeże, którego bronią dość silne pasma wzgórz, tak, że zdobycie Władywostoku od strony morza jest nie mniej trudne jak zdobycie Portu-Artura. Najsłabszą stroną fortecy stanowią fortyfikacye od strony lądowej, które ostatnimi czasami gwałtownie wzmocniono.

Komendantem Władywostoku jest generał Kazbek, były komendant twierdzy w Warszawie. Na jego żądanie magistrat władywostocki otrzymał od rządu pożyczkę jednego miliona rubli na zakupienie żywności na czas oblężenia. Wskutek tej otrzymanej pożyczki mogła ludność władywostocka zakupić sobie stosunkowo dość znaczną ilość zapasów żywności i zaopatrzyć się na wypadek oblężenia, a równocześnie obniżyć ceny środków żywności w samem mieście, które wskutek odcięcia dowozu przez Japończyków od strony morza nadmiernie wzrosły.

Wiadomą powszechnie jest rzeczą, jak Japończycy lekceważą sobie życie. Szanując przedewszystkiem swą godność i uważając za największy zaszczyt śmierć bohaterską w obronie ojczyzny — nie rzadko popełniają samobójstwo, gdy czują, że godność ich i honor został splamionym. Najczęściej dopuszczają się samobójstwa dostawszy się do niewoli.

Europa patrzy — zdaje się — lekceważąco na te samobójstwa japońskich żołnierzy, pragnących raczej śmierci, niż niewoli, a obecnie w samej Japonii toczy się w prasie żywa dyskusya na temat wartości i konieczności tych tak często zdarzających się samobójstw. Dyskusya ta została wywołana sprzeczką między generałem japońskim Sato, a znanym publicystą i dziennikarzem, panem Ukita. Ma się rozumieć, że dyskusya została wywołana artykułem publicysty Ukita, potępiającym samobójstwo. Generał Sato stanął w obronie samobójstwa, choć przyznawał, że czasami przesadza się pod tym względem. Samobójstwa żołnierzy uzasadniał generał mniej więcej tak: Żołnierz japoński zapatruje się na niewolę zupełnie z innego punktu widzenia, niż żołnierz europejski lub amerykański. Gdy ten ostatni pozwala się wziąć do niewoli, jeśli widzi, że opór jest daremnym, to żołnierz japoński nie może nigdy uwolnić się od tej myśli, że niewola przynosi hańbę i wstyd! Już częstokroć zwracano uwagę żołnierzom, że obowiązkiem ich jest nie odbierać sobie życie, by módz nadal służyć ojczyźnie, i nie zabierać ojczyźnie tych sił, których ona może potrzebować. Ale jeśli będziemy zwalczali wśród ludu to wysokie przekonanie, że lepsza śmierć, niż niewola, to — zapytuje generał Sato, czyż nie możemy dojść do tego, że osłabimy przez to waleczność naszych żołnierzy i tę ich zuchwałość, z jaką idą do walki!? Żołnierz japoński, idąc na wojnę, żegna się z życiem, idzie do walki z tem silnem przekonaniem, że albo zwycięży, albo umrze i ta właśnie zasada, że nie należy dać się pojmać żywcem do niewoli, daje wojsku japońskiemu tę lwią odwagę i czyni ich niezwyciężonymi przeciwnikami! Kiedy żołnierz jest już w niewoli, to nie ma żadnego powodu do odbierania sobie życia, ale w ostatecznym momencie krytycznym, kiedy ma wybrać między walką na śmierć, a poddaniem się, powinien każdy umieć rozstrzygnąć, jaką drogę powinien obrać, tak, by nie splamić swego honoru i godności. Generał Sato stawia wyżej samobójstwo, niż wszystko inne i twierdzi, że jest ono dobrym równoważnikiem tego strasznie silnego popędu życiowego i umiłowania przez ludzi życia. Ta odwaga wobec śmierci, która pozwala Japończykom rozprawić się z życiem, jak z jakąś błahą rzeczą, jest świadectwem ich wielkości i siły duchowej. Ten duch, jaki ożywiał oficerów i załogę branderów, zatopionych przed Portem-Artura, wzmacniał ducha ludu i stwarzał i budził nowych bohaterów. Przez to, że ci bohaterowie umią tak wcale a wcale nie ważyć sobie



Z wojny ros.-jap.: Działo rosyjskie, po...
Japończyk...



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Odwrót Moskali

życia, oddają oni społeczeństwu większą daleko przysługę, niż gdyby swoje siły siły chcieli na inną sposobność i konieczność w przyszłości zachować.

Jakżeż mali wyglądają obok Japończyków Rosyanie! U nich tchórzostwo jest epidemią. Rosyjski żołnierz głupi, nie zdający sobie sprawy za co i po co walczy, nie zdoła sobie życia odebrać, a jeśli sobie odbiera, to z pewnością nie powodowany etyką, jak Japończycy, którzy wolą umrzeć, niż z piętnem niewoli na czole życie zachować i oddać się w moc wroga. Żołnierz japoński, wiedzący doskonale, że walczy za sprawę świętą, że krew przelewa za dobro ojczyzny, woli zginąć niż cofnąć się, woli sam sobie życie odebrać, a nie oddać się wrogowi. Poczucie to wielkie i szlachetne, bohaterskie i podziwienia godne. Bo cóż to życie ludzkie warte, jeśli nie będzie w zupełności oddane na usługi społeczeństwa, narodu? Świadomość ta z żołnierzy japońskich czyni bohaterów, z ludzi olbrzymów, gotowych z piekła ofiary wydrzeć i iść do nieba po laury, jeśli tego ojczyzna potrzebuje. Jakaż przepaść dzieli pojęcia żołnierza rosyjskiego od pojęć Japończyka? Nie ma się czemu dziwić, że Japończycy zwyciężali zawsze i nie stoczyli nawet jednej potyczki, nie uwieńczonej powodzeniem. Czyny nadludzkie prawie, u Japończyków są na porządku dziennym. Bo Japończycy to sami bohaterzy. Okazało się to tylekrotnie w bitwach, staczanych w Korei i Mandżuryi i w tytanicznych zapasach z przyrodą i wrogiem pod Portem Artura.



...wione na wałach Mukdenu po wkroczeniu ... miasta.

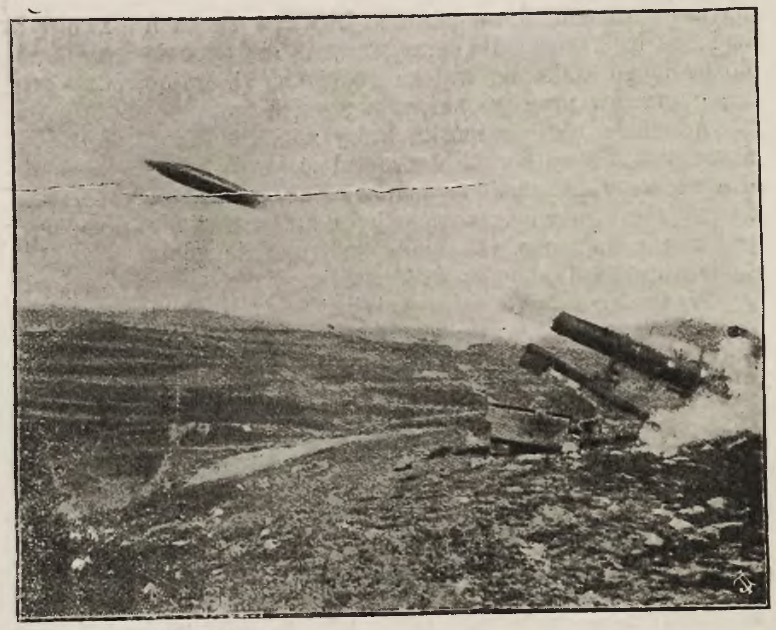
A propos Portu Artura.

Już w jednym z poprzednich numerów wykazaliśmy, że Stoessel, o którego „bohaterstwie“ rozpisywały się po upadku Portu wszystkie prawie pisma rosyjskie, nie był wcale bohaterem, ale co więcej, on właśnie nie był odpowiednim generałem i dowódcą oblężonej twierdzy. Obecnie z dniem każdym wychodzą na jaw nowe szczegóły, które na Stoessla, „narodowego bohatera“ rzucają bardzo ciemne i smutne światło. Oficerowie, którzy obecnie wracają do Europy, opowiadają fakta, dla Stoessla ogromnie niekorzystne.

I tak, według nich, Stoessel bardzo rzadko odwiedzał linię bojową. Zajmował się on głównie prowiantowaniem armii, ale, rzecz szczególna — prowiantów udzielał tylko tym, którzy mieli pieniądze i dobrze płacili. Między innemi były wypadki, że Stoessel za indyka kazał sobie płacić 25 rubli.

Rozbębniono też po świecie nadzwyczajne legendy o filantropii pani Stoessslowej. „Związek kobiet francuskich“ wybił nawet specyalnie medal na cześć „dzielnej kobiety, która z narażeniem własnego życia chodziła po szpitalach, pielęgnowała rannych jak matka dobrotliwa zagarniała pod swoje skrzydła biedne sieroty, których ojcowie pomarli z orężem w ręku, w obronie twierdzy i honoru armii“. Z czasem aureola, otaczająca skronie „opiekunki rannych i biednych“ w Porcie Artura zaczęła blednąć i dzisiaj zgasła już zupełnie. Według zgodnych opowiadań oficerów, pani Stoesslowa, kobieta ogromnie gospodarna i lubiąca zbijać rubelki za pończochę, utrzymywała w Porcie Artura 40 krów i wtedy, kiedy zapasów żywności zaczynało już brakować, kazała sobie za półlitrową flaszkę mleka płacić po 2 ruble i więcej.

Glorya „bohaterskiej pary“ małżonków Stoesslów wygląda więc dzisiaj bardzo — smutnie. Chodzą nawet teraz w kołach wojskowych w Petersburgu tajemnicze pogłoski, że Stoessel na kapitulacyi Portu zrobił dobry interes. Faktem jest bowiem, że na radzie wojennej na 16 członków, zaledwie dwóch oświadczyło się za kapitulacyą, reszta żądała dalszego oporu. Korpus oficerski również nie



Z wojny rosyjs.-japońsk.: Ćwiczenia torpedami: Wyrzucanie torpedy w powietrze na wybrzeżu pod Władywostokiem.

myślał o poddaniu się. Za poddaniem się oświadczyło się zaledwie dwóch oficerów.

Nic to jednakże nie przeszkadzało Stoesslowi, który dzięki prasie rosyjskiej chodzi i nadal w aureoli bohaterstwa...

* * *

O obecnej sytuacyi w Mandżuryi nie wiele da się powiedzieć. Generał Liniewicz wzgardził gadatliwością Kuropatkina i nauczył się milczeć. Co do Japończyków zaś, to wiemy już od dawna, że oni dopiero po zwycięstwie się odzywają i to bardzo skromnie. Na polach Mandżuryi panuje więc, o ile wnosić można z milczenia obydwu stron wojujących, pozorna cisza. Pozorna, mówimy, bo nauczyło nas doświadczenie. Zawsze po takiem milczeniu, dawniej tylko japońskiem — rozbrzmiewały działa i telegraf przynosił wiadomość o klęsce rosyjskiej. Cisza ta — to taka cisza przed burzą. Jak się zdaje, Japończycy, którzy już po bitwie mukdeńskiej mieli czas odetchnąć i zapełnić luki, jakie



...z pod Mukdenu po 14-dniowej zaciętej bitwie.

im ta czternastodniowa przeszło bitwa w szykach bądź co bądź poczyniła, przygotowują się obecnie do ogólnego ataku na wojska rosyjskie, zbierając się naprzeciw prawego skrzydła rosyjskiego.

Admirał Rożdiestwieński, który zdołał w szczęśliwy stosunkowo sposób doprowadzić swoją eskadrę na wody Wschodnie, manewruje ciągle tak, że miejsce jego właściwego pobytu faktycznie nie jest znane, taksamo, jak nie wiemy zupełnie, gdzie sobie obrał siedlisko ów wilk morski, Togo.

W numerze dzisiejszym podajemy Czytelnikom oryginalną fotografię. Przedstawia ona pokład flagowego pancernika admirała Togo „Mikasa“ w chwili, kiedy załoga przekonaną jest, że za kilka godzin zaryczą na morzu armaty i zacznie się bitwa krwawa i tysiące pochłaniająca ofiar. Na pokładzie jednak panuje zwykły porządek i spokój. Nie widać tam zdenerwowania, ani naprężonego oczekiwania — nie, wszyscy są gotowi i to gotowi umrzeć lub — zwyciężyć. Z zimną krwią oczekują rozkazu admirała, który w kajucie swojej, paląc ulubioną lulkę, siedzi nad mapą i myśli. Taki żołnierz musi zwyciężyć.

Korespondenci wojenni niejednokrotnie wspominają w swych listach z pola wojny o olbrzymich działach japońskich, które po kapitulacyi Portu Artura przewieziono nad rzekę Szak. W bitwie mukdeńskiej działa te o średnicy 28 cm. odegrały ważną niezmiernie rolę. Toż działa te wyrzucają kilkocetnarowe kule, które zdolne są zburzyć najsilniejszy nawet wał ziemny, najsilniejszą fortyfikacyę. Na ilustracyi naszej widać właśnie takie działo-olbrzym, ustawione w centrum japońskiem w bitwie mukdeńskiej. Napozór wygląda ono ociężale i niewinnie. Ale to tylko pozór. Nie rozpoczęło jeszcze ziać ogniem i siać naokół zniszczenia. Straszna, piekielna maszyna — do mordowania ludzi.

Skandaliczny odwrót Rosyan po przegranej bitwie mukdeńskiej, odwrót, będący po prostu bezładną, bezmyślną ucieczką na północ przed nacierającymi ze wszech stron Japończykami, był dla Rosyan straszniejszy może jeszcze, niż sama bitwa. Odwrót ten pochłonął tysiące ofiar, gdyż Japończycy nie ustawali w pościgu, rażąc bezustannie ogniem uciekających. Na ilustracyi naszej widzimy jednę scenę tego odwrotu, według szkicu korespondenta angielskiego pisma „Daily Mail“. Splątani w dzikim chaosie, ludzie i konie, ranni i chorzy, zdrowi i umierający, pędzą naprzód, szukając ocalenia w ucieczce. A tu na drodze pęka granat. Dym, huk i karetka ambulansowa, w której znajdowało się kilkunastu rannych, roztrzaskana w kawały. Nie można za to winić Japończyków, których humanitarność w czasie obecnej wojny wszyscy korespondenci zgodnie potwierdzają. W chaosie walki oni nie widzieli, do kogo strzelają; strzelali do uciekającego wroga, a że tam przypadkiem znalazł się wóz z rannymi, za to nie odpowiadają. Gdzie spojrzeć, wszędzie dymy i błyski, ziemia porozrywana w kawały, krew płynie bruzdami, wyoranymi przez granaty i szrapnele. A na uciekających prą nietylko wrogowie, prą i swoi, umykający również. Kto silniejszy, ten idzie naprzód, choćby po trupie towarzysza, jeśli ten w drodze upadł. Już się nie podniesie, bo przejdzie po nim falanga innych, uciekających również. I to w raportach rosyjskiego naczelnego dowódzcy nazywało się... cofaniem w porządku.

Mukden, starożytne miasto, ufortyfikowane potężnie, zajęli Japończycy w sposób równie dziwny, jak niezwykły. Rosyanie, rozbici nad rzeką Szak, nie myśleli już stawiać oporu w Mukdenie. Kto mógł, uciekał, zabierając co się dało. I pozostawiano w okopach i wałach działa, które się stały zdobyczą japońską. Nie było czasem nawet trupów przy nich. Widocznie żołnierze, zwąchawszy niebezpieczeństwo, uciekli, pozostawiając działo dla wroga. Takie działo, na ufortyfikowanej pozycyi, opuszczone przez Rosyan, przedstawia nasza rycina.

Akcya Japończyków, zmierzająca powoli, ale konsekwentnie do zdobycia Władywostoku, zmusza Rosyan do zwracania szczególniejszej uwagi na tę twierdzę, oknem Wschodu nazywaną w Rosyi. Załoga tamtejsza ćwiczy się ustawicznie i to nie tylko na lądzie, ale i na morzu, na którem Rosya ma jeszcze 2, uszkodzone, bo uszkodzone, ale ponaprawiane i mogące się jeszcze na powierzchni morza utrzymywać pancerniki. Są to jakby symbole skrachowanego rządu rosyjskiego, utrzymującego się tylko sztucznie przy władzy. Na ilustracyach naszych widzimy ćwiczenia rosyjskie z torpedami na wolnem powietrzu. Torpedę wyrzuca się ze specyalnie w tym celu skonstruowanej maszyny na znaczną nawet odległość. W ten sposób wybrzeża władywostockie, uzbrojone w te maszyny, nie pozwoliłyby podpłynąć ku sobie żadnemu statkowi nieprzyjacielskiemu, gdyż napotkałby on we wodzie miny, ponad wodą kule i torpedy.

KRONIKA LWOWSKA.

(Gorąco. — Panna Jankowska. — Jubileusz tramwaju konnego. — Rocznica Schillera. — Pieśń o dzwonach OO. Dominikanów. — Bolesna ale konieczna operacya. — Rabin dr Caro strefnił wiernych. — Tramwaj elektryczny do Kulparkowa. — Ucieczka kapitana ze szpitala. — Strejk krawców a złota młodzież. — Lwowskie świeże powietrze. — Spacery — Kurz a magistrat. — Z teatru. — Ostatni koncert Filharmonii. — Z wystawy sztuk pięknych).

Skwarne gorąco panuje we Lwowie od dwóch tygodni, jak w czasie sezonu ogórkowego. Poci się cały Lwów wraz z radą miejską, którą na wniosek rajcy Riedla wypowiedziała wojnę rządowi; poci się panna Jankowska, bo w roli ostatniej jest tyle słów rozpoczynających się, kończących się i zawierających fatalną dla niej literę „r“, jakby umyślnie przeciw niej była ułożona; poci się prezydent Małachowski, który na cześć Wiednia i Luegera wygłaszał na zjeździe, czy wiecu miast hymny pochwalne — wszystko się poci, nawet Wasz kronikarz, który, zajęty w tej chwili trawieniem obiadu myśli w pocie czoła nad wyborem i obrobieniem tematów dla niniejszej kroniki.

Otóż naprzód jubileusze i rocznice. Jubileusz dwudziestopięcioletniej działalności wożenia i przejeżdżania mieszkańców Lwowa obchodził w tym tygodniu tramwaj konny, a przy tej sposobności obchodził swój jubileusz dyrektor tramwaju, który od lat 25 kieruje zakładem, niektórzy funkcyonaryusze, którzy od początku są tam zajęci i większość koni, które od pierwszej chwili dotychczas dzielnie spełniają przyjęte na się zadanie. Uroczystość odbyła się niezwykle wcześnie, bo już o godzinie 5 rano, poczem puszczono w ruch te same wozy, które od lat 25 stale są używane.

Drugim pamiątkowym obchodem była setna rocznica urodzin Fryderyka Schillera, obchodzona w sali kasyna miejskiego przez niemiecki pensyonat jakiejś pani, której nazwiska — dalibóg — nie pamiętam. Wielkie wrażenie wywołała deklamacya „pieśni o dzwonie“, co niektórzy wzięli za prowokacyę, ile że sprawa z dzwonami jest obecnie we Lwowie bardzo aktualną.

Poświęcenie nowych dzwonów, sprzedaż starych dzwonów, wywiezienie dzwonów, nawrócenie dzwonów — to wszystko dzwoni teraz we wszystkich dziennikach. O. O. Dominikanie bowiem postanowili zmodernizować się w całej rozciągłości, wszystkie swoje stare graty na cztery wiatry powyrzucać, a zastąpić nowymi. Pierwszą czynnością w tym kierunku było wyrzucenie starych dzwonów jeszcze z XVI. wieku pochodzących i sprzedaż tych dzwonów „na bruch“. OO. Dominikanie urządzili to cichaczem i już były stare dzwony na dworcu kolejowym, skąd miały powędrować do Wiener-Neustadt, gdy konserwatorzy starych zabytków dowiedzieli się o tej cichej manifestacyi i wstrzymali wysyłkę. Drugim punktem modernistycznych reform Ojców Dominikanów była bolesna wprawdzie, ale — ich zdaniem — konieczna operacya, dokonana na geniuszu śmierci, wspaniałej rzeźbie Thorwaldsena na nagrobku rodziny hr. Borkowskich umieszczonym w kaplicy św. Dominika. Oto od wieku nie zauważył tego nikt, aż dopiero obecny przeor Dominikanów, że ów geniusz śmierci jest nietylko bosy aż po szyję, ale ponadto brak mu nawet... listka figowego, skutkiem którego to braku ma o jeden szczegół za dużo... Dziwne... Ponieważ nie można było listka dorobić, przeto po dłuższej wspólnej, nabożnej konferencyi postanowili O. O. Dominikanie uczynić nieprzyzwoitego przez wiek cały geniusza śmierci absolutnie nieszkodliwym za pomocą operacyi, czy amputacyi tego — ich zdaniem — całkiem niepotrzebnego szczegółu... I usunięto go! Była to operacya okrutna wprawdzie, ale bardzo konieczna, a dzienniki „niepotrzebnie“ narobiły tyle hałasu, zarzucając OO. Dominikanom nieposzanowanie zabytków. OO. Dominikanie są przekonani, że pisma tylko z pobudek antysemickich podnoszą takie larum, bo gniewa ich to, że geniusza śmierci przerobiono na — żydka... Za to wśród żydów tutejszych panuje niesłychana radość... Jak się skończy ta chryja z Dominikanami — jeszcze nie jest wiadomem, to jednak już jest pewnem, że biedny geniusz śmierci już nigdy nie odzyska tego, co stracił... Zato moralność u OO. Dominikanów chlubnie uratowana.

Jakkolwiek żydzi z powyższego faktu są bardzo uradowani, to jednak boleśnie dotknął ich z innej strony fakt, że rabin tutejszy dr Caro, urządzając wesele swej córki, sprawił ucztę weselną w trefnej restauracyi Hotelu George'a. Okoliczność ta w myśl przepisów talmudu zwalnia podobno wszystkich wiernych od dalszego przestrzegania „koszerności“, co jeżeli nastąpi, może wywołać nieobliczalne komplikacye na tle społeczno-religijnem u lwowskich żydów. Jak słychać, gościom smakowały potrawy wcale dobrze i nie zaszedł ani jeden wypadek udławienia.

Ażeby ułatwić na przyszłość pacyentom zakładu kulparkowskiego ucieczkę, która dotąd połączona jest zawsze z takiemi trudnościami, uchwalono zbudować nową linię tramwaju elektrycznego do Kulparkowa. Należy się spodziewać, że ta nowość przyczyni się znacznie do ożywienia ruchu pomiędzy Kulparkowem a Lwowem. Co prawda, to kapitan Schaumann, który onegdaj zdefraudował nieznaczną kwotę z kasy wojskowej, uciekł bez tramwaju ze szpitala, dokąd wpakowano go po sprowadzeniu do Lwowa, ażeby zbadać stan jego umysłu. Nie można było bowiem zrozumieć, jak może człowiek o zdrowych zmysłach z tak małą sumką uciekać za granicę. Poddano go więc po przyłapaniu obserwacyom psychiatrów, a obecnie pan kapitan ze szpitala urządził „nogę“... A więc nie waryat...

Strejk krawców trwa jeszcze ciągle, skutkiem czego majstrowie krawieccy grożą w dziennikach, na wszystkie sposoby zaklinając się, że więcej płacić nie będą. Złotawa młodzież jest z tego powodu bliską rozpaczy. Jeden z nich wpadł do swego krawca i powiada dobitnie: „Proszę e... pana... taki zawód... to e... formalne e... nieszczęście... e... a jakże... e, a gdyby tego... to ja tego... e... te... no więc...“

Krawiec zrozumiał, że coś się z tego święci, więc starał się ugłaskać lwa, przyrzekając za tydzień wykończyć garnitur, ale gdy facet jeszcze dłużej te-e-kał, przypomniał mu grzecznie, że jest tu jeszcze mały rachuneczek dawniejszy do wyrównania... Ulotnił się...

Razem z sezonem letnim rozpoczęły się u nas wycieczki za miasto, spacery, zwiedzanie parków podmiejskich, zwłaszcza w niedzielę, kiedy to człowiek po całotygodniowem siedzeniu w biurze wybiera się „z familią“ do Lesienic do Grunda na „świeże powietrze i stare podśmietanie“, albo tramwajem do parku stryjskiego, gdzie nasze piękne panie suknami wzbijają takie tumany kurzu, że trudno w mieście o lepsze. Już to, co do kurzu, to chyba nigdzie nie ma go tyle, co we Lwowie. Magistrat zaś czyni wszystko możliwe, ażeby pod tym względem panowała w całem mieście równość tj. nigdzie więcej, nigdzie mniej. Tam, gdzie się więcej kurzu zbierze, przychodzą pachołkowie magistraccy i nie polewające wcale, rozmiatują go po całej ulicy, wszędzie o ile możności równo. Zaprowadzone przez magistrat szczotki do rozpylania kurzu i tem łatwiejszego wprowadzania go w płuca przechodniów spełniają świetnie swoje zadanie. Najwięcej zaś kurzu mamy w ogrodzie jezuickim, dokąd lwowianie idą odetchnąć „świeżem, wolnem powietrzem“. Kto zaś ma odwagę wejść do restauracyi pana Rudolfa w tymże ogrodzie, ten już dokładnie może sobie uzupełnić obraz Lwowa w lecie. Do spacerów lwowskich wrócę zresztą wkrótce.

Na zakończenie słówko o sztuce. Teatr wystawił „Córkę Joria“, która podobała się dość, głównie dzięki Siemaszkowej. Na rzecz rannych Polaków w zaborze rosyjskim wystawiono Gorkiego „Na dnie“. Filharmonia zerwała się jeszcze tylko jeden raz z ciężkiego snu i urządziła koncert „Chóru akademickiego“. Ogromnie podobał się śpiewak tut. opery, barytonista Adam Ludwig. Na tem Filharmonia zamknęła cały szereg (4) koncertów. W Towarzystwie sztuk pięknych w gmachu Muzeum przemysłowego można obecnie widzieć i podziwiać płótna panny Pająkówny. Szkoda tylko, że tak dobre płótno prawie w całości zamalowane jest nie do poznania. Po oglądnięciu tych obrazów i opamiętaniu się, tłómaczył mi mój znajomy, (znawca sztuki): „Widzisz pan, tu jest portret młodej damy, dlatego tak staro wygląda; pewnie symbol rozumu; tu znowu stara cyganka, dlatego tak przerażająco młodo przedstawiona; tu znowu portret dziecka z wąsami, czyli niewinność; — ale przejdźmy do innych artystów: masz pan tu Pichora „Mężczyznę z lasem dziewiczym na głowie“, tu dalej „Muzykant bez zajęcia“, Gawlikowskiego „Kadet bez pieniędzy na urlopie“, Reyznera „Coś i nic, czyli kwiaty bez wychowania“, Kunza „Ryby przed śmiercią“, Fałata „Dziewczyna z blednicą“ — tu uczułem, że robi mi się słabo i opuściłem to straszne miejsce. Mojemu znajomemu tak bardzo podniosły się włosy na głowie, że mu kapelusz zlatywał. Wyleczył się dopiero u Musiałowicza.

Klewe.

Władysław Woleński.

Najstarszy aktor we Lwowie... Nestor naszych artystów i chodzący dowód, że można być aktorem i pobierać potem emeryturę. Mimo to zdrów i krzepki, a na scenie pojawia się wprawdzie posiłkowo, ale wcale nie jak emeryt. Gdybyśmy porównali emerytów służby państwowej z emerytami teatralnymi, porównanie wypadnie na korzyść teatru stanowczo...

Rozpoczął pan Woleński swoją karyerę sceniczną w Krakowie, jeszcze w roku 1868 za dyrekcyi Skorupki. Nauczycielami jego byli Koźmian i Aszpergerowa. W r. 1870 przyszedł do Lwowa za dyrekcyi Miłaszewskiego i od tego czasu przebywa tu stale, udając się tylko kilka razy na gościnne występy do Poznania.

Co do rodzaju ról amant bohaterski i salonowy — od samego początku. Rozumie się, że pierwszy amant... Jako taki, przetrwał wszystkie dyrekcye od roku 1870, a „przetrzymał“ kilkuset amantów konkurencyjnych... Ról postawił za ten czas kilka tysięcy, a za każdą rolę nasłuchał się dużo oklasków i naczytał moc pochlebnych recenzyj... Jednogłośnie... a jakże...

Bo pan Władysław Woleński wyróżniał się zawsze sporym zasobem prawdziwego talentu aktorskiego i dzięki temu jeszcze dziś, po trzydziestu i siedmiu latach intenzywnej pracy na scenie, każdą rolę gra bardzo dobrze.



Na scenie — jak powiedziano tylko posiłkowo, ma bowiem role, które niejako przeszły na jego wyłączną własność dożywotnią. Do takich należy np. Kościuszko, którego gra dotąd zawsze i nikt nie spróbuje mu go odebrać. Z dawniejszych Romeo, Karol Moor, Ferdynand, któż zliczy? Krótko: grał wszystkich kochanków „bohaterskich“, wielu „salonowych“, wyrażając się gwarą aktorską.

Stale cieszy się poważaniem u swoich „władz“ i kolegów. Nic dziwnego... Żywa historya ostatnich lat kilkudziesięciu teatru lwowskiego i tej historyi część wcale poważna.

Do niedawna reprezentował teatr, ile razy wypadało wystąpić z przemówieniem. Wtedy mówi z polotem, dobitnie i wyraźnie, a ma swadę, której pozazdrościłaby mu nie jeden obrońca w sprawach karnych i analogicznych...

Ponadto „udziela się“ często i poza teatrem biorąc udział w rautach i wieczorkach jako świetny deklamator... Zapraszają go gorąco, więc chętnie idzie i bezinteresownie... Deklamuje doskonanale.

Na ogół bardzo sympatyczny typ aktora-obywatela, zażywającego wielkiego miru w całem mieście... Najchętniej przebywa latem prawie całymi dniami na Wysokim zamku, gdzie tylu innych artystów odświeżało płuca... Może temu zawdzięcza, że tak się krzepko trzyma... *Kl.*

GASTON CLOMNER.

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

(Ciąg dalszy).

— Ku wielkiemu memu zmartwieniu spotkało mnie to nieszczęście, że po wyjściu z teatru w tłumie zgubiłem pana Springera. Szukałem go i szukałem, ale napróżno, więc przyszedłem dowiedzieć się przedtem, nim pójdę spać, czy trafił do domu...

— Zgubiłeś pan mojego ojca?!... Boże! teraz już jest tak późno, a ja nie słyszałam, czy już powrócił, choć przyrzekł mi przecie, że, przyszedłszy do domu, zaglądnie jeszcze do mego pokoju! O, panie Parker! zaczekaj pan jeszcze chwileczkę!...

I Helena szybko zwróciła się ku drzwiom, łączącym jej apartament z pokojem ojca. Drżącą od strachu ręką zapukała zrazu lekko, potem silniej, ale nikt jej nie odpowiedział. Mister Parker zwrócił jej uwagę, że klucz tkwi w zamku po jej stronie, że więc może otworzyć drzwi i przekonać się, czy ojciec jest w domu. Dziewczę poszło za jego radą, ale zaledwie stanęło w progu, krzyk trwogi i rozpaczy wydarł się z jej piersi. Pokój był pusty, a łóżko nawet nieporuszone. Anglik z flegmą dobył zegarka i na swój chłodny, obojętny sposób zaczął uspokajać strwożoną dziewczynę.

— Już jest po północy, miss Springer, a ponieważ nic nie upoważnia nas do robienia złych przypuszczeń, ponieważ nie mamy żadnych konkretnych powodów do obawy o pana Springera lub o to, żeby go spotkał jakiś nieszczęśliwy wypadek, musimy się uspokoić. Ja go szukałem, a on mnie też z pewnością. Nie znając miasta, zabłądził i w końcu, czując zmęczenie, jako praktyczny Amerykanin poszedł spać do pierwszego lepszego hotelu, jaki mu nawinął się po drodze.

— I pan sądzisz, że mój ojciec poszedłby spokojnie spać do innego hotelu, podczas, gdy ja tu siedzę w obawie o jego zdrowie i życie?!... O, mister Parker! to pan nie znasz mojego ojca, jeśli możesz coś podobnego przypuścić. Jest już po północy, więc przedstawienie pewnie się już dawno skończyło?...

— Tak! jeszcze przed dwoma godzinami!...

— Boże litościwy! — jęknęło dziewczę z rozpaczą — to ojcu pewnie musiało przytrafić się jakieś nieszczęście! Musimy go szukać zaraz! Szkoda mi każdej chwili czasu!...

Lecz Anglik zatrzymał drżącą z trwogi i wzruszenia Helenę, tłómacząc jej z całą, zawsze go cechującą obojętnością niestosowność takich poszukiwań nocnych. Głośna ta rozmowa, tocząca się przy otwartych drzwiach, zwróciła uwagę służby hotelowej, której obawy młodej Amerykanki zdawały się wprost śmiesznemi. Pokojówki i kelnerzy z całą uprzejmością, na jaką stać służbę wobec zamożnych gości, uspakajali dziewczę i wyszukiwali najrozmaitsze przyczyny, które mogły opóźnić powrót starego Springera, a nikt nawet nie chciał przypuścić, żeby spotkało go jakieś nieszczęście. Znakomicie zorganizowana policya hamburska dawała wszelką gwarancyę zupełnego bezpieczeństwa. Od dawna nigdy nie słyszano w mieście o nocnych napadach, a gdyby stary pan Springer nawet, co nie daj Boże, zachorował, to miał przy sobie papiery i policya pewnieby zaraz dała znać do hotelu o jego zasłabnięciu. Wszystko to nie uspokoiło wprawdzie Heleny, ale w każdym razie przekonało ją, że poszukiwania za ojcem w tak wielkiem mieście byłyby całkiem bezowocne. Postanowiła więc powrócić do swego pokoju i tam oczekiwać wieści o ojcu, a mister Parker, który zrazu zdawał się walczyć z sennością i zmęczeniem, po rycersku ofiarował jej swe służby i postanowił spędzić noc w pokoju staruszka, aby każdej chwili być na zawołanie dziewczęcia.

Helena niespokojnie przechadzała się po swym apartamencie, a trwoga o los ojca i poczucie samotności wzrastały z każdą chwilą w jej sercu. Kwadrans mijał za kwadransem, godzina za godziną, a nikt nie przynosił jej żadnej wiadomości o życiu. Zdenerwowana, rozgorączkowana zapukała wreszcie znów do Anglika i prosiła go, aby jeszcze raz z wszystkimi szczegółami opowiedział jej ostatnie chwile, które spędził z jej ojcem. Mister Parker z senną twarzą zmęczonym głosem rozpoczął opowiadanie, ale czuć było, że tylko wzgląd, iż ma do czynienia z kobietą, skłania go do tej grzeczności. Helena, mimo, iż całą jej myśl zajmowała tylko sprawa zniknięcia ojca, zauważyła to w końcu i z pewną goryczą prosiła go, aby nie przeszkadzał sobie i udał się na spoczynek. Anglik skłonił się jej uprzejmie z całą otwartością przyznał się do zmęczenia i udał się do swego pokoju, położonego na drugiem piętrze, aby skorzystać z reszty nocy i zakosztować trochę snu, który, jego zdaniem słusznie mu się należał.

Po jego odejściu Helena na chwilę położyła się na szezlongu i próbowała usnąć, ale było to ponad jej siły. Obawa o los ojca nietylko nie słabła, lecz przeciwnie, rosła w jej duszy coraz bardziej i nie dawała jej spokoju. Każdy szelest kroków na korytarzu napełniał ją nadzieją. Spieszyła do drzwi, pewna, że rzuci się w ramiona ojcowskie, ale za każdym razem wracała się z wyrazem bolesnego rozczarowania na pobladłej twarzyczce. To powracali jej sąsiedzi, którzy do tej pory zabawili się w mieście. Gnana niepokojem i gorączką parę razy zbiegała do loży portyera, aby tam powiedzieć się, czy nie nadeszła jakaś wieść o jej ojcu, ale za każdym razem portyer stroił twarz w smutną minę i wzruszał przecząco ramionami, a kiedy pierwsze promienie słońca zaglądnęły już do jej pokoju i rozprószyły zmrok nocny, biedne dziewczę nie miało jeszcze pojęcia, co właściwie stało się z jej najukochańszym ojcem!...

Wstrętny hipokryta.

Tego samego dnia popołudniu, w którym policya hamburska bez wytchnienia szukała choćby za jakimś śladem zaginionego Rudolfa Springera do „Hotelu czterech pór roku“ pomiędzy innymi zajechał starszy, dobrze już upasiony jegomość, który w pierwszej linii zapytał portyera, czy mieszka tu jaki stary Amerykanin z córką. Portyer podał mu numer apartamentu Heleny i tłuściutki gość wśród utyskiwań na zmęczenie zaczął się drapać po wygodnych schodach, zasłanych miękkim dywanem, na pierwsze piętro.

Stanąwszy przed drzwiami, prowadzącemi do pokoju młodej Amerykanki, jegomość ten zatrzymał się chwilę, chrapnął ciężko i począł ocierać jedwabną chustką pot z czoła — pot, którego nie wywołały chyba ani jazda dorożką do hotelu, ani też wspinanie się po wygodnych schodach! Na krągłej, pucołowatej twarzy tego jegomościa, zaczerwienionej jak burak, malował się dobrobyt i jowialność, ale kto lepiej przypatrzył się jego rysom, kto raz dostrzegł jego drobne oczki, latające dokoła, ten widział skrytość i chytrość, przebijającą się w całej jego fizyognomii. Farbowany włos i wąs przesadnie, staranne ubranie, bogata szpilka brylantowa w krawacie i elegancya kupczyka nie mogły mu chyba u nikogo zjednać wielkiej sympatyi.

Nieznajomy dwa razy wyciągnął już rękę, aby zapukać do drzwi pokoju Heleny i dwa razy cofnął ją z dziwnym jakimś grymasem. Coś widocznie powstrzymywało go, jakiś lęk zrodził się w jego sercu. Ale nie długo trwało to wahanie. Jegomość raz jeszcze westchnął ciężko i potem, jakby powziąwszy silne postanowienie, nagle zapukał silnie, a posłyszawszy cichym drżącym głosem wypowiedziane: „proszę“ jak bomba wpadł do pokoju.

Helena, której siły były zupełnie wyczerpane i która w każdym przybyszu spodziewała się gońca strasznej hiobowej wieści w milczeniu spoglądała na przybyłego, oczekując, co on jej powie. Upasiony jegomość spojrzał na nią z podełba i nie pewnym, chrapliwym nieco głosem zapytał, czy nie mógłby pomówić z panem Rudolfem Springerem.

Ciąg dalszy nastąpi.



LINA BEZPIECZEŃSTWA.

HUMORESKA.

(Dokończenie)

Zdziwiłaby się z pewnością jeszcze bardziej, a i pan Artur podzieliłby jej zdumienie, gdyby wiedziała, za kogo wyszła właściwie pani Adolfina. Otóż zaślubił wdówkę właśnie przyjaciel jej kochanka — pan Antoni, którego bilet konduktor z kieszeni panu Arturowi zrabował!

Na szczęście zakochani nie wiedzieli o tem.

Tymczasowo protokół konduktora, w pociągu sporządzony, nie pozostał bez skutku. Odstąpiono go urzędownie policyi, ta powierzyła sędziemu śledczemu, który skandaliczną tę aferę zdał na podwładne organy, celem wyśledzenia zbrodniarza i powtórnego przesłuchania ofiary.

Poszukiwania zaczęto od ofiary.

Ajent policyjny dotarł wreszcie po długiem śledzeniu do domu i mieszkania pokrzywdzonej.

— Czy tu mieszka pani Adolfina Uderska? — zapytał służącej, która mu drzwi otworzyła.

— To ten nie wie o tem, że nasza pani za mąż wyszła — pomyślała sobie młodsza.

Nie przywiązując zresztą żadnej wagi do tego spostrzeżenia, poprosiła nieznajomego gościa do salonu.

Niezadługo ukazała się pani domu.

— Czego pan sobie życzy? – zapytała, wskazując przybyszowi fotel.

— Zrozumie pani dostatecznie cel mego przybycia – odparł tenże — gdy pani powiem, że jestem z policyi.

— Co? — zawołała, cofając się ze zdziwieniem – cóż to znaczy? Ja nie miałam nigdy z policyą do czynienia!

Podczas tej rozmowy nadszedł i pan Antoni – mąż pani Adolfiny.

— A to co nowego? — zapytał niekoniecznie uprzejmie, spostrzegłszy pomieszanie małżonki.

— Ten pan jest z policyi i twierdzi, że powinnam wiedzieć cel jego odwiedzin!...

— Nie inaczej łaskawa pani — odparł tenże, dostając z kieszeni notatnik — wszak pani nazywa się Adolfina Uderska?

— Tak nazywała się, mój panie — objaśnił mąż z naciskiem.

— Uhm! — mruknął do siebie urzędnik — zmieniła nazwisko, to mi coś podejrzane!

I ciągnął dalej:

— To zresztą do rzeczy nie należy. Z tem wszystkiem nieomal stałaś się pani ofiarą haniebnego zamachu.

— Zamachu? Ofiarą? Nie rozumiem.

— Tak jest! zamachu, uplanowanego przez pewnego szubrawca.

— Ha! – ryknął z wściekłością małżonek – więc jakiś nędznik śmiał...

— Ależ to nieprawda! — zawołała młoda kobieta — Antosiu! przysięgam ci, że on kłamie!

— Niechno pani daruje — perswadował przedstawiciel władzy — już ja wiem co mówię. Mam zresztą protokół konduktora, który zbrodnię stwierdził.

I podał pod nos panu Antoniemu papier.

— Ależ panie, ja nie wiem o niczem — próbowała się bronić pani Antoniowa.

— Moja pani! Gołosłowne zaprzeczenia nic nie pomogą—recytował urzędowym głosem policysta — zamach, w mowie będący, miał miejsce w drodze z Krakowa do Zakopanego, pomiędzy dwoma kamieniami, oznaczającymi kilometr Nr. 105 i 106!

Pan Antoni, mimo strasznych podejrzeń, budzących się w jego sercu, nie dał nic poznać po sobie, ze względu na trzecią obcą osobę, ba! zdobył się nawet na swobodny uśmiech i rzekł żartobliwie do żony:

— No, widzisz, moja kochana! a nie wspominałaś mi o tem nigdy!

— Czy może wierzysz w to, co ten bałwan plecie? — krzyknęła w najwyższej irytacyi pani Adolfina.

— Co? co? bałwan? — oburzył się z kolei przedstawiciel sprawiedliwości. — Proszę uważać na wyrażenia!... Powtarzam pani z całą stanowczością, że tak było, a nie inaczej. Na dowód tego przypomnę pani, że powstrzymałaś wtedy pociąg Nr. 611!

— Taak? — zawołał mąż – to znowu inna historya!

— A więc ja wstrzymałam w polu pociąg? Nie! ten człowiek jest szalony!

— Powstrzymałaś go pani, szarpnąwszy za linę ratunkową. Znaleziono panią, pławiącą się w łzach, sam na sam z współwinnym.

Pan Antoni zaczął nabierać silniejszych podejrzeń.

— Ależ gdzie ten łotr — krzyknął z wściekłością – ten łotr?

— Uciekł, nie znaleźliśmy go jeszcze.

— Będę panu pomocnym w poszukiwaniach — oświadczył pan Antoni.

— Nazwisko jego znamy jednak!

— Ha, powiedz pan to nazwisko! ja znajdę łajdaka!

Policyant spojrzał w protokół i rzekł z całym spokojem.

— Nazywa się Antoni Ścibora!

— Moje nazwisko?

— Pan się nazywasz Antoni Ścibora?

— Tak jest.

— A więc pan jesteś zbrodniarzem!

Złapał go za kołnierz i oświadczył uroczyście:

— W imieniu prawa jesteś pan aresztowany!

— Jakto? – krzyknął pan Antoni, wyrywając się z ręki władzy — pan mnie obwiniasz, jakobym na własną żonę rękę podniósł? Tego mi już zadużo!

— Ja trzymam się jednego – odparł z zimną krwią ajent, chwytając ponownie p. Antoniego za kołnierz. – Czy pan jesteś Antoni Ścibora?

— Tak jest!

— A zatem dnia 3 kwietnia chciałeś pan dokonać zamachu na panią Adolfinę Uderską.

— 3 kwietnia dokonać zamachu? Wszak 3 kwietnia był nasz ślub!

— To mnie nie obchodzi!... Ja trzymam się tylko protokółu.

— Zdaje mi się, że i mojego kołnierza – ryczał w bezsilnej wściekłości biedny p. Antoni.

— Co pan robiłeś 3 kwietnia z tą panią?!..

— Panie! — wrzasnął małżonek — to pana nic nie obchodzi, com robił z moją żoną w dniu 3 kwietnia! Precz mi z domu!

Ale opór nie pomógł. Ajent przyprowadził ich przed komisarza policyi. Młodemu małżeństwu udało się wreszcie udowodnić, że w krytycznym dniu 3 kwietnia znajdowali się oboje przed ołtarzem, nie zaś między dwoma kamieniami, oznaczającymi kilometr Nr. 105 i 106.

IV.

Pani Lucyna była w rozpaczy. I zdaje nam się, że nikt na jej miejscu nie mógłby być w innem usposobieniu.

Młoda mężatka miała sobie istotnie wiele do wyrzucenia.

Po pierwsze: wielbiciela swego, tak szczerze i bezinteresownie jej oddanego — owego interesującego pana Artura naraziła na również bardzo interesującą (ale tylko dla czytelnika) — przygodę. Powtóre: przyjaciółkę swoją wplątała w skandaliczną awanturę, która nawet nigdy miejsca nie miała, a wreszcie męża, tego zacnego staruszka — chciała podejść niegodnie! I kto wie coby się było stało, gdyby nie — lina ratunkowa, która istotnie odegrała rolę opatrznościową, jeżeli nawet nie dla niej samej, to dla tego poczciwego człowieka!...

Wzorowy ten małżonek odchrapuje w dalszym ciągu poobiednie godziny z niezmąconą niczem, anielską pogodą. (O ile oczywiście aniołowie chrapią).

I pani Lucyna przyszła wreszcie do przekonania, że milsze w domu chrapienie męża, niż ogniste wynurzenia miłości interesującego młodzieńca w wagonie, gdzie zwłaszcza na podorędziu jest lina ratunkowa i bohaterski konduktor, broniący cnoty samotnych pasażerek.

Na zakończenie możemy czytelnika zapewnić, że i pan Artur wyrzekł się na dłuższy czas wycieczek koleją w towarzystwie mężatek. Jeżeli zaś kiedy wyjątkowo pozwolił sobie na tak hazardowny krok, nie wszedł wprzód do wagonu, zanim się nie upewnił, że liny ratunkowej w coupée niema lub takowa wcale nie funkcyonuje.

Obecnie więc jeździ tylko koleją – kocmyrzowską. Tam przynajmniej nie jest już absolutnie narażony na „niebezpieczeństwo liny bezpieczeństwa“.

Fortis.

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

ułożył W. K.

I.

Pierwsze-drugie mało ważą —
Trzecie-drugie małe dna, —
Drugie-czwarte się odważą
Na największe w świecie zła!...
Całość — ludzie, którzy sami
Chcą na gwałt być... waryatami!

II.

Pierwsze jest rzeką w pięknej krainie,
Która cudami przyrody słynie.
Drugich pogodnych i miłych, jak *trzeci* –
Poszukasz wśród kobiet, mężczyzn i dzieci.
Cały pełni w Rosyi urząd bardzo śmiały...
Lecz *czwarty* jego rządów: kruchy i nietrwały!..

III.

Pierwsza i druga, gdy świeża i biała:
Jest wielkim skarbem i wdziękiem kobiety,
Drugie i trzecie – inaczej rakiety,
Wystrzelają w górę aż do niebios szczytu...
Druga i trzecia, choćby nawet mała —
Nie może nigdy wywołać zachwytu!...
Całość odgadnięta – bez trudu, bez znoju,
Gdy się rozglądniecie dobrze po pokoju!...

Arytmogryf.

ułożył W. K.

15
13 18 17
11 3 8 16 11
1 3 9 16 18 12 4
3 1 3 6 3 12 2 16 7
15 18 8 16 3 2 9 16 1 10 15
7 3 11 3 9 4 16 2 3
2 10 14 16 5 9 7
8 18 1 3 7
19 10 20
15

Środkowe litery dadzą imię i nazwisko poety i literata polskiego.

Znaczenie wyrazów.

1. Spółgłoska.
2. Rzeka.
3. Historyk rzymski
4. Konsul rzymski
5. Poeta.
6. ?
7. Imię żeńskie.
8. Miasto amer.
9. Powieść Gawalewicza.
10. Zwierzę.
11. Spółgłoska.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznaczamy wspaniałe ilustrowane dzieło Stanisława Bełzy p. t.: **„W ojczyźnie bohatera“.**

Rozwiązania z Nru 18.

Rebus: Człowiek prosty opiera swoje zdanie na tem, co widzi.

Szarady: I. Szynka. II. mandolina.

Arytmogryf: Jan Kochanowski – Modlitwa do Boga.

Zadanie literackie: Ignacy Matuszewski.

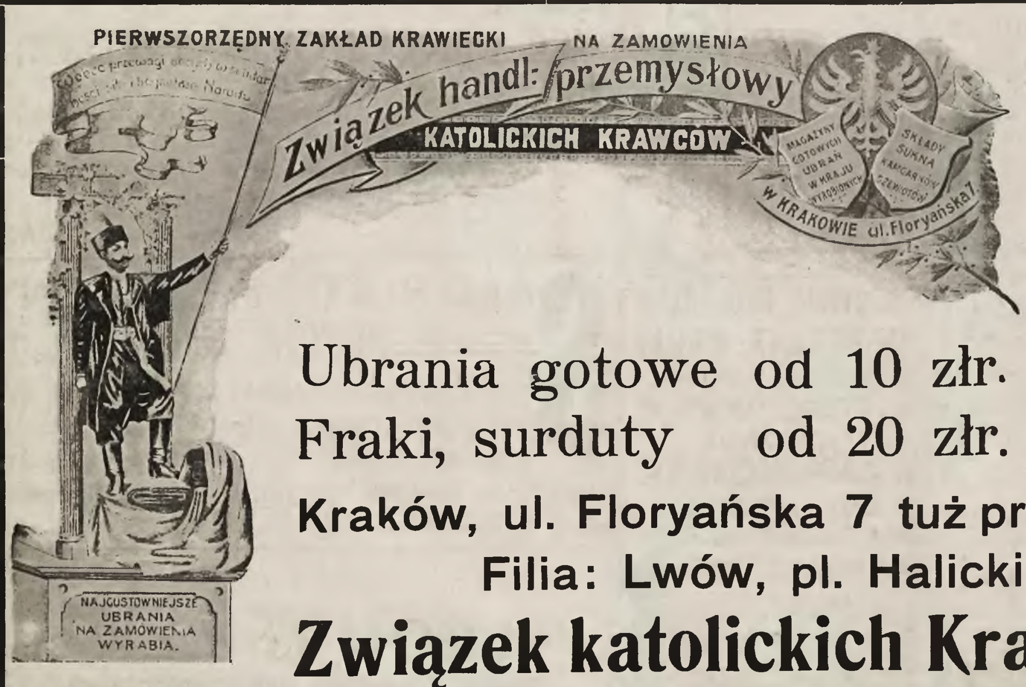
Dobre rozwiązania wszystkich zagadek nadesłali PP: A. Ulrich Kraków, J. Nekvapil Kraków, M. Gawlicki Kraków, „Lola“ Kraków, J. Scheiger Brody, F. Fonfert Kraków, M. Opolska Czarny Dunajec, G. Piasecki Dolina, St. Andrysik Podgórze.

Częściowo dobre rozwiązania nadesłali PP: M. Arbesbauer Lwów, A. St. Bassara Niwiska, B. Ramułtowa Jeżów, K. Fuchs Peczeniżyn, M. Zollnerówna Tarnopol, J. Mokrzycka Turbia, K. Chodkiewicz Zbydniów, T. Domain Sanok, M. Rożański Nowy Sącz, G. Cordier Tarnów.

Nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek otrzymał przez losowanie p. Paweł Piasecki w Dolinie. Prosimy o nadesłanie 50 hal. na koszta przesyłki.

Nowości w bluzach, halkach i bieliźnie

M. Beyer i Spółka
Kraków
Sukiennice l. 12, 13, 14



Ubrania na zamówienia od 20 złr.

Ubrania gotowe od 10 złr.
Fraki, surduty od 20 złr.
wyrób krajowy

Kraków, ul. Floryańska 7 tuż przy Rynku.
Filia: Lwów, pl. Halicki 7 14

Związek katolickich Krawców.

BEZ NAUCZYCIELA!
BEZ NAUKI I BEZ ZNAJOMOŚCI NUT!


Nr. 134.

może każdy grać na mojej trąbce samogrającej i flecie: pieśni, tańce, i marsze. Poleca się szczególnie na wesela i zabawy. Do każdego instrumentu dodaje się darmo łatwo zrozumiałą szkołę. Przesyłka za zaliczką przez dom wysyłkowy instrumentów muzycznych

A. Scheuer
w Krakowie
ul. Grodzka 59/6.

Bogato ilustrowane cenniki instrumentów muzycznych oraz zabawek na żądanie darmo i opłatnie.


Nr. 135.

Nr. 134. Trąbka samogrająca ma 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, 36 cm., złr. 1·10, 3 szt. złr. 3.

Nr. 135. Flet na 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, fason cylindrowy, 40 cm., złr. 1·50, 3 szt. złr. 4.



Spłaty częściowe!
dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.

Bezsprzecznie największy wybór!

Renomowana i powszechnie znana firma

Dom towarowy „AU LOUVRE“
we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)

poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarze) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.

Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.

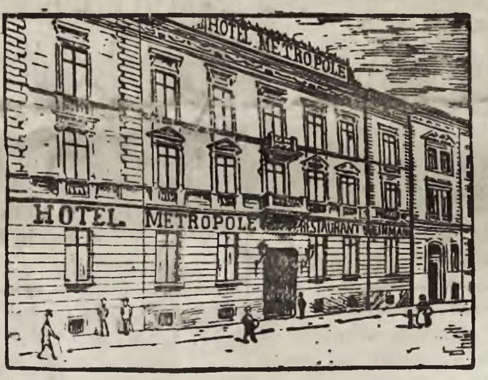
By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zważać.

Z poważaniem Zarząd firmy:

Dom towarowy „Au Louvre“
Lwów, Sykstuska 6.

HOTEL I RESTAURACYA „METROPOLE“
KRAKOW, ULICA ŚW. GERTRUDY L. 28
poleca Szan. P. T. Publiczności bardzo elegancko urządzona na wzór zagraniczny pokoje od 2 K wyżej. Obsługa szybka.

Hotel posiada 40 eleg. urządzonych na wzór zagraniczny pokoi od 2 K. Ogród z werandą.



Stacya kolei elektr. Telefon do użytku P. T. Gości. Obok hotelu gł. urząd poczt. i telegr.

Znakomita kuchnia domowa. Potrawy b. smaczne w wielkim wyborze po przystępnych cenach. Piwo pilzneńskie beczkowe. Obsługa szybka i rzetelna. Z poważaniem **S. KUBI'E.**

Eleg. spodnie spacerowe złr. 2·50
poręczonej doborowej jakości, trwałe, posiadające najnowszy fason, solidny kolor i nienaganny wiedeński krój, sprzedajemy **za bezcen** jedynie z powodu olbrzymiego zapasu; przy odbiorze 2 par złr. 4·75. Przy zamówieniu wystarczy podać całą długość, objętość w pasie i długość w kroku. Wysyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy przez

Dom Exportowy ubiorów męskich i dziecinnych
KRAKÓW, GRODZKA 31.

Nieodpowiednie zamienia się bez jakichkolwiek trudności. Każde zamówienie na miarę z garderoby męskiej i dziecinnej zostanie również bardzo szybko i rzetelnie po najtańszych cenach fabrycznych uskutecznione. Aby się każdy mógł przekonać, o naszych niezrównanie niskich cenach, prosimy uprzejmie o zamówienie próbne i o liczne zwiedzanie naszego składu fabrycznego

Kraków, ul. Grodzka 31. — **Dostawcy związku c. k. urzędników państwowych. — Filie w Łańcucie i w Gorlicach.** 2 10-29

Najtaniej w Krakowie, Grodzka 58
Bogaty wybór Pierścionków zaręczynowych i obrączek ślubnych



Łyżki, łyżeczki, cukiernice i inne wyroby z chińskiego srebra.

»»»»»»»»»»»»»

Aparaty fotograficzne, zawsze świeże klisze, papiery oraz wszelkie inne przybory fotograficzne poleca po cenach nader niskich

Niemetz i Sp.
w Krakowie,
Szewska l. 2 pierwszy dom od rynku.

»»»»»»»»»»»»»

„ARS“
Salon sprzedaży rzeźb i obrazów artystów polskich, otwarty codziennie **w dnie powszednie** od 10 do 1-szej zrana i od 2 do 4 po południu.

Ul. Bracka 5, na parterze.

Darmo i opłatnie
otrzyma każdy mój bogato illustrowany cennik
Instrumentów muzycznych
oraz różnych
ZABAWEK





A. Scheuer, Kraków
ulica Grodzka l. 59/6. 7-52

WĘGIERSKA RÓŻANA Papryka Szegedyńska najlepsza, słodka, ręczę za prawdziwość, uznanej znakomitej jakości, własnego wyrobu klg. za 5 K. Wysyłka za zaliczką, począwszy od 1 klgr. opłatnie. Dalsze specyalności: **Słonina, węgierskie salami** itp. b. tanio.

Dom wysyłkowy różnorodnych produktów krajowych
Haupt A. Rudolf, Budapest
VII. Ovodagasse 22.

BIURO
NAUCZYCIELSKIE
Stefanii Łapszów
z Trembeckich Zwilling
Kraków, ul. św. Jana l. 2 róg Rynku Głównego
poleca:
Nauczycielki, Guwernantki, Nauczycieli, Guwernerów oraz Wychowawczynie i Bony różnej narodowości.

ZMIANA LOKALU!
HANDEL TOWARÓW BŁAWATNYCH
z ulicy Dietlowskiej L. 66
na Rynek główny 6, I. piętro, do domu WP. Szarskiego (szara kamienica). Handel mój zaopatrzony został na sezon wiosenny i letni w największy wybór **towarów bławatnych i wełnianych.** — Wielka okazya w resztkach jedwabnych, firankach, portyerach, dywanach i t. d.

z wysokiem poważaniem **A. J. Klipper.**

ZMIANA LOKALU.
Mam zaszczyt zawiadomić Sz. P. T. Publiczność, iż z dniem 1 kwietnia 1905, **mój Zakład** zegarmistrzowski, **znajdujący** się dotychczas przy ul. Karmelickiej l. 14, **przeniosłem** pod **l. 6 ul. Karmelicka.**

W. ZAKRZEWSKI.

„FLORA“
PRACOWNIA SUKIEN DAMSKICH
I SZKOŁA KROJU.
KRAKOW, PODWALE 13.

CUKIERNIA
Kazimierz Sotschek
LWÓW
poleca się P. T. Publiczności.
Bufet w teatrze miejskim.
Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą.

Posiadacze losów
mogą u nas dostać za nie pełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numera) grając na nie bez przerwy, nabyć na dogodne spłaty miesięczne. Losy gdziekolw. zastawione, wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcyę.
Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacyj, losów i monet. — Ajentów żadnych nie wysyłamy. — Kalendarzyk bankowy bezpłatnie.

Schütz i Chajes, Dom bankowy
we Lwowie, plac Maryacki 7.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.